

Syrokomia

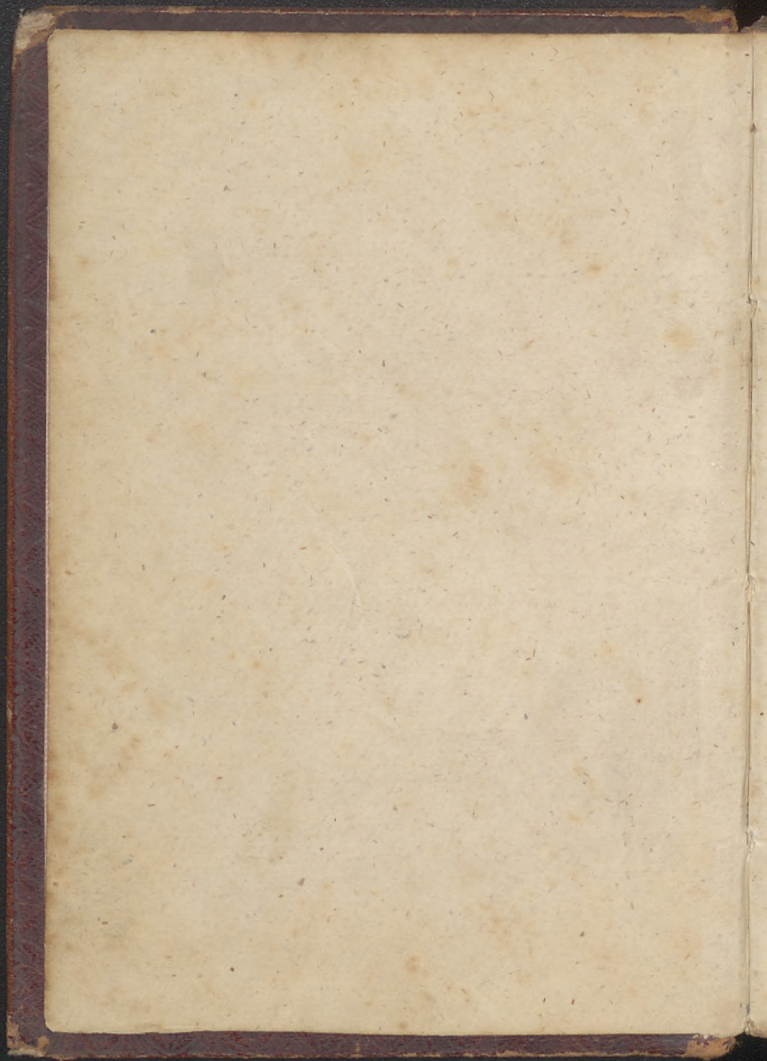


GAWĘDY





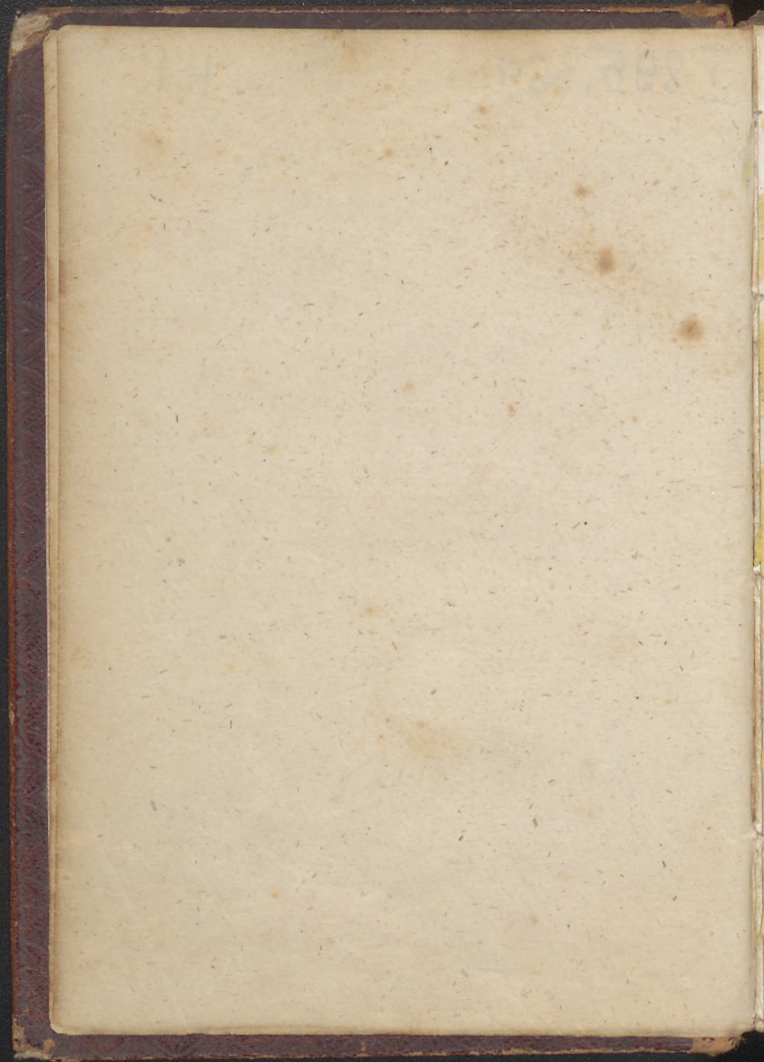




I 895,369

H.P.

GARDEN I HIVE ULOVNE



GAWĘDY I RYMY ULOTNE.

BY APPOINTMENT TO HIS MAJESTY
THE KING

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA



Wydanie Maurycego Orgelbranda.

w M. Fajans, w Warszawie, Ulicaługa 350.

GAWĘDY
i
RYMY ULOTNE.

Władysława Syrokomli.

POCZET NOWY

z portretem Autora.

WILNO.

NAKŁAD MAURycego ORGELBRANDA.

1854.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001014171152

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby egzemplarzy.

Wilno, 22 lipca 1853 roku.

Cenzor *Paweł Kukolnik.*



Poczet 2

1895.369



W DRUKARNI S. ORGELBRANDA
W WARSZAWIE.

1976 K 1627/62

PRZEDMOWA

DO

NOWYCH GAWĘD.

WITAJ mi, czytelniku! a przepuść mi proszę,
Że dzisiaj posilniejszej stawy nie przynoszę;
Bo téż duszę nie zawsze wyczerpać aż do dna,
Nie zawsze się urodzi piosenka swobodna —
Czyż wszystkie w biednym życiu upamiętnić chwile?
Czyż wszystkie wyrymować lzy i krotochwile?
O! są w piersiach uczucia, jak święte ołtarze,
Na które PAN zasłonę ponarzucać każe.
Uchylić téj zasłony nie bądźcie ciekawi:
Jest tam boleść, co serce rozdziera i krwawi,

Jest tam zwątpienie duszy — zdala od téj żmije!
 Bo wam zniszczy nadzieję i wiarę zabije;
 Jest tam nieco doświadczeń okupionych drogo,
 Ale te świętą miłość wyziębic w was mogą, —
 Więc, com przemarzył smutnie, com cierpiał boleśnie,
 Nie chciałem mych goryczy wysnuwać na pieśnię.

Dziś z kilku drobnych kwieci uplatam mój wianek,
 Niosąc kilka piosenek, kilka pogadańek,
 Kilka drobnych wierszyków z cudzoziemskiej mowy
 Prze strojonych po prostu na nasz ład domowy —
 Oto całe méj lutni tegoroczne żniwo,
 Przyjmijcie dobrém sercem i twarzą chętniwą.

Na pięknej naszéj Litwie, kędy jeno zoczym,
 Jest śpiewać co i komu — jest gawędzić o czém;
 Nastają wieczornice z początkiem jesieni,
 Kominiek się wesołym ogniem zapłomieni,
 A ludzie na gawędkę pośpieszą ochoczo
 I kółkiem domowego lirnika otoczą.

Lirnik poczyna pieśnię — i widzi gromada,
 Że mu rwie się osnowa, że dźwięk się nie składa,
 Że mu głos obezsilniał — a więc szeptać poczną,
 Że utracił potęgę pieśni przeszloroczną.

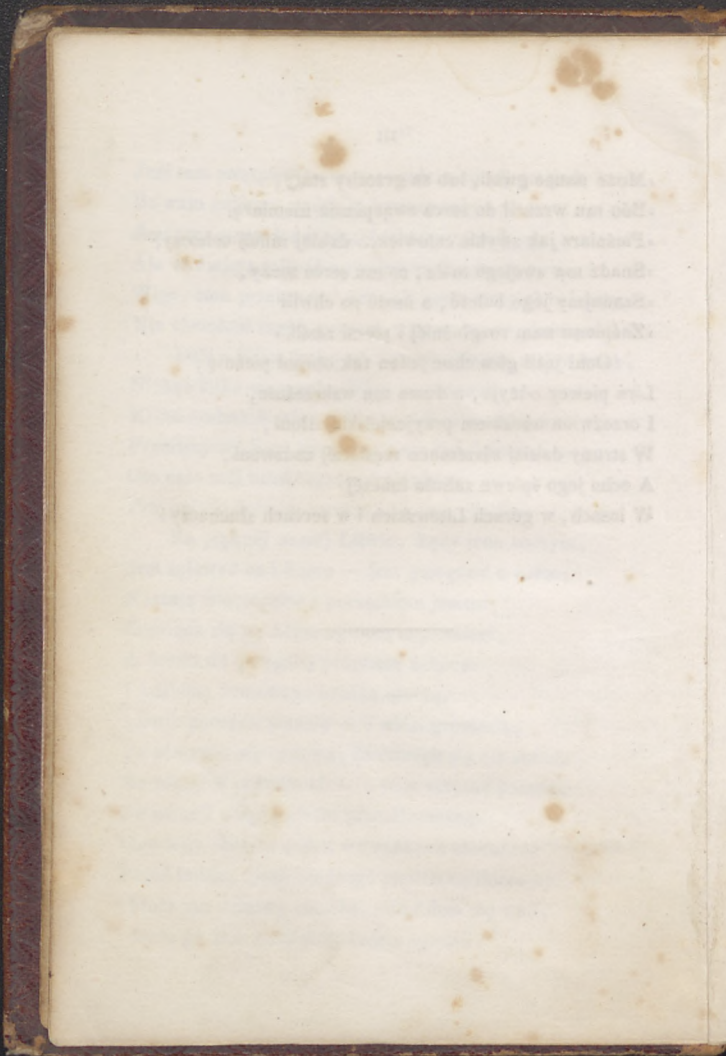
O, wtedy chociaż jeden z uważnych słuchaczy
 Przed ludźmi niech biednego piewę wytlómaczy.

Może mu dziatwa zmarła, może dom się wali,

Może go Bóg zasmucił, ludzie ogadali,

- »Może nauce gwoli, lub za grzechy stare,
 »Bóg mu wrzucił do serca zwątpienia niemiare.
 »Pieśniarz jak zwykle człowiek... dzisiaj mniej ochoczy,
 »Snadź ma swojego mola, co mu serce toczy,
 »Szanujmy jego boleść, a może po chwili
 »Zaspiewa nam rozgłośnięj i piersi zasili.»

Och! jeśli głos choć jeden tak obroni pieśnię,
 Lira piewcy odżyje, a dusza mu wskrześnie,
 I orzeźwion uściskiem przyjacielskiej dłoni,
 W struny dzisiaj zdrzémiane rzęsiścięj zadzwoni,
 A echo jego śpiewu zahula inaczej
 W lasach, w górach Litewskich i w sercach słuchaczy!



LIRNIK WIOSKOWY

(SIELANKA).

I.

LIRO ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna

Snadź ciebie wyrobiono!

Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,

Zaraz mi kipi łono;

Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,

I smutno i wesoło.

Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty

Przechodzę całe sióło!

Z tobą się nie napieszczę: i dzień i noc jeszcze...

Jeszcze grałbym bez końca,

Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladój twarzy
 Uderza krew gorąca.
 Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
 Przecie tonów nie zniżę;
 Nie żałuję méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy
 Skonam grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Niebezpiecznesz narzędział
 Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie
 Wiecznie pamiętać będzie!
 Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
 I tęsknota ogarnie.
 Tyś pokarmem Bożem, z tobą jak z ostrym nożem
 Nie żartować bezkarnie.
 Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
 Jakby ostrzem przenika,
 A gorsza jeszcze biéda, że świat i wiary nie da:
 Co tam w duszy lirnika?
 Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
 Że mnie tak chętko bodzie:
 Grać od serca, grać wiele, panu Bogu w kościele,
 Dobrym ludziom w gospodzie;
 Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
 Niech ją dźwiękiem otoczą,

Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
 Czy się bawi ochoczo.
 Patrzcie na dziewę moją! przy niej chłopcy się roją,
 Śmieszne, śmieszne ludziska!
 Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
 Trzeci srebrem połyka.
 Mnie Bóg więcej przeznacza, znaj co hardość śpiewacza
 Ja przed nikim nie zniżę,
 Ani pieśni, ni głowy, hardy lirnik wioskowy,
 Skonam grając na lirze!

III.

Liró ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,
 Wątle z tobą nadzieje!
 Snadź twe piosnki nie piękne, czy przed Bogiem ukłękne,
 Czy dla ludzi zapieję,
 Tylko rozgwar twój znudzi pana Boga i ludzi,
 Serc braterskich nie zjedna,
 Bo każdy z towarzyszy, słyszy jakby nie słyszy,
 O doło moja biedna!
 Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
 Ku Bogu głos wytęzę,
 Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
 Smutnym tonem mitręzę.
 Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawia dziewczęta,
 Młodzież i starcy w domu,

Klnę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
 Lub zapłaczę kryjomu,
 Dziewczę słuca lirnika, ale duszę zamyka,
 Mnie się serce rozpada —
 Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze,
 I z innym płasza rada.
 Starzec westchnie i powie: „Za mych czasów grajkowie
 „Toć to grali dla duszy!
 „Dzisiaj idzie w zawody, jakiś młodzik bez brody;
 „Trąbić mu w róg pastuszy!”
 I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani,
 Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
 Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
 Ale serce odejmie!
 Liro! próżnaś przynęty, strzaskać by cię na szczęty,
 Z ciebie ciernie i krzyże!
 Lecz tyś promień mój głowy, wszak ja lirnik wioskowy
 Skonam grając na lirzel!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Ludzie łzami mnie poją!
 Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,
 Ty będziesz chlubą moją.
 Ej rozgłośnie, rozgłośnie, twoje echo urośnie!
 Zolbrzymieją me słowa;

Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
 Do samego Kijowa,
 Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
 Ciekawie zakołata:
 „Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
 „Lirnik głośny u świata.“
 Wtedy z całego sióła ciekawość lud wywoła,
 I będą czynić wnioski,
 Szeptać ściskając plecy: „Skąd ci ludzie dalecy
 „Znają pieśni téj wioski?“
 Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
 Przed ludźmi cudzej ziemi,
 Westchnieniem i gawędą słać lirnika będą
 Co śpiewał i żył z niemi.
 I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
 Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
 I rzekną wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy
 „Skonał grając na lirze.“

ZYWOT POCZCIWEGO CZŁOWIEKA

(GAWĘDA)

I.

Z ojca i matki małżonków ślubnych
Szlachty osiadłej w swoim powiecie,
Znajomój w dziejach ze wspomnień chlubnych,
Na ten świat przyszło płci męzkiej dziecię;
I zapłakało — zwyczajna pieśnią
Kiedy się rodzą, to płaczą mali;
A iż to było drugiego września,
(Wtedy septembrem ów miesiąc zwali),
Przeto ksiądz proboszcz na cześć téj chwili,
Imieniem Stefan ochrzcił to dziecię;

Na chrzeinach goście jedli i pili,
Ot jak zwyczajnie na świecie.

II.

Malutki pierśmi żył matczynemi,
Potém mléko zajadał chłopczyzna,
Wyszedł z kolébki, pelzał po ziemi,
Wreszcie na kiju jeździć poczyna;
Potém szczebiotać dowcipne słowa
I ładne domki budować z karty,
A ojciec mawiał: „Niech zdrów się chowa,
„To będzie panie... rozum nie żarty!
„Patrz jak na kiju harcuje składnie,
„A jakby stary dowcipnie plecie
„Choć się skaleczy albo upadnie,
„Ot jak zwyczajnie na świecie!“

III.

Potém go ojciec umieścił w szkole,
Kędy się kształcił rozum człowieczy,
Tam się nauczył w ciężkim mozołe
Czytać i pisać i różnych rzeczy.
Z czego te deszcze powstają w chmurze?
Co jest wymowa? co linija prosta?
Tam poznał chodząc w pięknym mundurze,
Co jest swawola i co jest chłosta?

A kiedy umiał to co mistrzowie,
 Wrócił do domu już w pełném lecie;
 Oprócz hulanki nie mu nic w głowie,
 Ot jak zwyczajnie na świecie!

IV.

Zmarli rodzice — popłakał trocha,
 Wszedł między ludzi — i było błogo,
 Wszystkiemu wierzy — każdego kocha,
 Nie zamknął w domu drzwi dla nikogo;
 Nie zamknął serca przed żadnym z ludzi;
 I przysiągł sobie we mszy u fary,
 Że w jego sercu nie nie ostudzi
 Świętej miłości i świętej wiary.
 Pokochał dziewczę kraśne i hoże,
 Więc pisał wiersze na cześć kobiecie;
 Dobrych przyjaciół zliczyć nie może,
 Ot jak zwyczajnie na świecie!

V.

Tylko w rok jakoś, czy we dwa lata
 Płakał z niewiarą: „Biada mi, biada!
 „Bo widzę jasno, że miłość świata
 „Na moję miłość źle odpowiada.
 „Niby to zdoła duszę kobiecą
 „Rozognić miłość czysta i święta!

„Ona... przez próżność kocha mnie nieco,
 „Ale na siebie mądrze pamięta.
 „Kto do ołtarza rękę jęj poda,
 „Każdemu wieniec z mirtu uplecie;
 „Na taką miłość, éj serca szkoda!
 „Ot jak zwyczajnie na świecie!

VI.

Więc przestał wierzyć w miłość dziewiczą,
 I stał się martwym i cierpiał wiele,
 Jeno się cieszył, że przyjaciele
 Bratnim uściskiem sił mu użyczą.
 Ale wśród świata zimnej rachuby
 Znowu zapłakał po raz ostatni:
 „O! gdyście wszyscy jak samoluby,
 „Więc śmieszny ku wam mój zapał bratni.
 „Zbrojno od świata... najlepsza tarcza
 „Niewiara w sercu i grosz w kalecie,
 „Wszak egoista sobie wystarcza
 „Ot jak zwyczajnie na świecie!”

VII.

Gdy się przed światem serce zamyka,
 Jużci dla serca męczarnia szczerza;
 Ale nie każdy na męczennika,
 Nie każdy stworzon na bohatera;

I nie każdemu łatwo się uda
 Wyształcić w sobie wznioślejszej wiary,
 Owęj miłości, co tworzy cuda,
 Roskoszy walki, szczęścia ofiary.
 Coby się chętnie przez ciernie darli
 Nie wiele takich ludzi znajdziecie;
 Gdy nas zabito... tośmy umarli...

 Ot jak zwyczajnie na świecie!

VIII.

A więc biednemu choć iza się ciśnie,
 Dla świętych uczuć nie odżył więcej.
 Pojął małżonkę bardzo korzystnie,
 Wziął po niej posag — ze sto tysięcy,
 Śmiał się z nadziei, dał rozbrat wierze,
 Zatuczył w sercu miłość dziwaczną,
 Jadał śniadanie, obiad, wieczerzę,
 Popijał wino i sypiał smaczno.
 Bóg go obdarzył potomstwem licznym;
 Raz wydał obiad sławny w powiecie,
 Toć go obrano sędzią granicznym,

 Ot jak zwyczajnie na świecie!

IX.

Tak przeżył długo i zebrał wiele —
 A gdy już w końcu siły nie służą,

Toć sobie umarł — wtedy w kościele
 Pozapalano świec dużo, dużo;
 Ubrano trumnę w opony sine,
 Bito we dzwony po całym mieście,
 Potém ksiądz proboszcz za złotych dwieście
 Chwalił zmarłego całą godzinę.
 Potém lud boży mogiłę sypie,
 Co na cmentarzu i dziś znajdziecie,
 Potém się każdy upił na stypie,
 Ot jak zwyczajnie na świecie!

X.

Żona i dzieci sprawili sobie
 Z białemi pręgi czarne czamary,
 Rok i sześć niedziel byli w żałobie,
 Bo tak przepisał obyczaj stary.
 Jak się po roku żałoba zdarła,
 Znowu się w jasne ubrano kwiatki,
 Żona z kim innym śluby zawarła,
 Synowie toczą proces o spadki.
 Jak skończą proces, to ani wspomną,
 Że mieli męża i ojca przecie,
 A spadek pójdzie w kolój potomną,
 Ot jak zwyczajnie na świecie!

Sierpień 1852.

HETMAN POLNY

(GAWĘDA STARO-ŻOŁNIERSKA).

„Bo gdy doma lwami okrutnemi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami.”

P. Skarga.

I.

Poza pagórkem, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara ;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
„Héj! gdy zawita dziec hajdamacka,
„Z poza pagórka wypaść zniemacka!
„I broniąc niskie strzechy wioskowe,
„Krymskich bandytów pobić na głowę!”

Tak już uradził plan całej sprawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Nie zawždy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszczą:
Rabuje bratnie chaty, szpichlerze,
Robocze woły rznie na wiecezrę,
Znieważa krasne dziewy wieśniacze,
I jeszcze bije gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

III.

A wtém pod wioskę nocną zaciszą
Naszli Tatarzy i jęki słyszą;
„Ej, nie masz Boga jak Allah w niebie!”
Po bisurmańsku rzekli do siebie,
„Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
„Sulejman-Murza od przedniej straży;
„Niechże rabują, niech się ochocą,
„Nam tu zajeżdżać już nie ma po co,
„Dziś spalim zamek gdzie wróg nasz krwawy
„Wielmożny hetman polnej buławy.”

Tak jaś urabiał plan całej sprawy.
Wielmożny hetman polnej buławy.

Na wiosce hula szlachta pancerna,

Na niebie gore łuna obszerna;

Hetman na niebo spojrział z oddali:

„Na koń rycerstwo! mój dwór się pali!”

Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,

Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:

Zamek spalony, służba wyrznięta,

Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;

Na zgłiszczach domu modli się łzawy

Wielmożny hetman polnej buławy.

1851.



Wielmożny hetman polnej buławy,
„Dziś spalił xamur, gdzie wiozł nasz kława,
„Wiem tu, wjeżdżając, już nie ma po co,
„Zobaczcie, rabujcie, niech się odłożą,
„Hetman-Murza od przednich straż,
„Stach tu już gozard nasz Tatarski,
„To białmański rzekli do siebie,
„Ej, nie masz Boga jak Allah w niebie!”
Naszi Tatarsi i jęli słysząc;
A wtedy pod wieżę nocną zaczęła

O ZABŁOCKIM I MYDLE

(PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA).

I.

WIESZ co panie Jakubie?
Ja tych żalów nie lubię!
To już nasza natura,
Że gdzie człowiek nie wskóra,
Zaraz krzyki, hałasy:
Winien pan Bóg, złe czasy,
Albo ludzka w tém wina,
Lub feralna godzina...
Ej my panie Jakubie
Sami winni swój zgubie.

II.

Mamy, panie, swój rozum,
 Mamy *nomen gloriosum*,
 Chleba, miodu i mleka,
 Że daj Boże do wieka!
 Siedź w dostatkach po szyję.
 I chwal Pannę Maryję.
 Gdzie tam! ani do głowy!
 Gorzki nam chleb domowy.
 Doma chwast i pokrzywa,
 Choć grunt niegorszy bywa,
 A my ze swym lemieszem
 Na cudzą niwę śpieszym,
 Naśladuje chęć płocha,
 To Francuza, to Włocha,
 A jak ludzi nie stanie
 To choć Niemca mospanie;
 Więc nie dziwne koleje
 Że nas Francuz ośmieje,
 Że nas Niemiec oskubie,
 Prawdaż panie Jakubie?

III.

Żywy przykład ci właśnie
 Na Zabłockim wyjaśnie.

A Zabłocki... to wiecie
 Co to sławny na świecie,
 Co to z wielkiej rachuby
 Mydłem przyszedł do zguby.
 Ja go znałem... dziad stary
 Siedział z kijkiem u Fary,
 Żebrząc chleba i strawy;
 Nosił kubrak dziurawy,
 Po nim torbę przypasze
 I pas z herbem na blasze.
 Drży bywało od chłodu...
 A był bogacz za młodu.
 Gdzieś na Litwie głębokiej
 Trzymał gruntu trzy włoki,
 Konie, pszczoły, oborę
 I grosiwo miał spore.
 Gdzież to wszystko przemija ?
 Szlachcie przyszedł do kija !
 Żebrze stary i chory ;
 A na mszę i nieszpory
 Szlachta idąc gromadnie,
 Aż od śmiechu się kładnie —
 Zaczepiają go młodzi :
 „*Jak się handel powodzi ?*”
 A staremu nie żarty,
 Płacze ręką podparty,

I choć własna w tém wina ,
To on Niemców przeklina.

Raz mu jakiś podróżny
Hojnie rzucił jałmużny,
Więc jak zwykle dziadowie
Za dobrodziejów zdrowie,
Poszedł na miód w gospodę;
I sam dzieje swe młode
Gadał — mając już w czubie —
Słuchaj panie Jakubie!

IV.

„Byłem młodym — powiada —
„I zamożnym nie lada:
„Trzos pełen, szkapa gładka,
„Pracowita czeladka,
„A karność jak po brzytwie;
„A nad Niemnem na Litwie,
„Chociaż niwa piaszczysta,
„Człek na siankn skorzysta.
„Dawałem sobie radę:
„Do Turowa pojedę
„I nakupię Mospanie
„Krówek wielkich jak łanie,
„Wołów jak się należy
„Jak żubrów z Białowieży —

„Wszystko siwe wspaniale
 „Ukraińskie rogałe.
 „Pędzę na błonia nasze
 „I sowito wypaszę,
 „A potem z naszej trawy
 „Prowadzę do Warszawy,
 „I na mojej chłubie
 „Wór talarów zarobię!
 „Samo szczęście szło do mnie.
 „Po szlachecku i skromnie
 „Zbieram ziarko do ziarka,
 „Talarek do talarka,
 „I tak z trudem nie małem
 „Cały tysiąc zebrałem;
 „A talarki w téj dacie
 „(Jeżeli pamiętacie)
 „Bite jednym kalibrem
 „Szły dziewięć złotych srebrem.”
 Gdy Zabłocki to gwarzy,
 To aż wesół na twarzy,
 Kręci wąsy w swój chlubie
 Ot tak panie Jakubie !

V.

„Raz — powiada — w Warszawie
 „Szedłem sobie ciekawie ,

„Szedłem i łamię głowę,
 „Że tam w strony domowe
 „Coś mi kupić wypadnie:
 „Byle tylko coś ładnie,
 „Byle tylko niedrogo!
 „A zgadnijcie dla kogo?
 „Ha!! choć miałem w tój porze
 „Lat z pięćdziesiąt już może,
 „Ale co tam? choć trzysta,
 „Byle dusza ognista,
 „Jak po maśle, jak z góry,
 „Można ruszyć w konkury!
 „A o miłą odemnie
 „Mieszkał szlaehcie przy Niemnie,
 „I miał krewną daleką
 „Krew mospanie i mleko,
 „Dziewczę pełne urody,
 „Że klękajcie narody!
 „Więc myślałem i szczerze:
 „Ot w zaloty uderzę,
 „Da mi rączkę i kwita;
 „I ksiądz proboszcz przeczyta
 „Zapowiedzi w kościele —
 „Potém będzie wesele,
 „I Zabłockich rodzina
 „Pójdzie z ojca na syna.

„Otóż w głowę zachodzę
 „Coby kupić niebodze?
 „Mało w oczy co kole?
 „Tam złotogłów, sobole,
 „Zausznice ze złota,
 „Wszystko cudna robota;
 „Lecz to drogo bez miary,
 „Senatorskie towary.
 „Myślę sobie: do licha!
 „Nie dla szlachty ta pycha.
 „Mój się mieszek rozszasta,
 „A tu jeszcze niewiasta
 „(Niechaj pan Bóg zachowa)
 „Popsuć mi się gotowa;
 „Jakiémś cackiem, klejnotem
 „Kupię biedę na potem,
 „Będą śmiać się sąsiedzi!”
 Tak Zablocki się biedzi,
 Biedzi swoją chudobą,
 I miał słuszność za sobą;
 Bo kiedy się niebacznie
 Zbytek przed ślubem zacznie,
 To cóż będzie po ślubie??
 Prawda panie Jakubie?

VI.

„Co tu począć? zła rada.
 „Chciałem wracać — powiada —
 „Aż tu sklepik koło mnie
 „Strojny pięknie a skromnie,
 „Na nim desek ze cztery
 „Ze złotemi litery:
 „*Tu są różne pachnidła,*
 „*Wonią zaprawne mydła,*
 „*Wonne wódki i wina*
 „*Johan Gripsner z Berlina.*”
 „Ot znalazłem nareszcie
 „Co potrzeba niewieście!
 „Tu nie musi być drogo,
 „Kupię dla cię niebogo:
 „Funt mydelka z Warszawy
 „Z różanemi zaprawy;
 „Rzecz to u nas tak rzadka,
 „I nie jedna sąsiadka
 „Pozazdrości niebodze! —
 „Pomyślałem — i wchodzę,
 „I w targ z Niemcem — tfa mara!
 „Za funt mydła talara. .
 „Aż przebiegły mnie dreszcze!...
 „A tu Niemiec w śmiech jeszcze.

- „Co to Niemcze! ja dziecko?!
 „Znaj naturę szlachecką!
 „Więc zmarszczywszy nań czołem
 „Talar bity cisnąłem,
 „I z mém kupnem wychodzę,
 „I tak myślę po drodze:
 „Co to Niemiec!? no proszę!
 „Jak mu łatwo o grosze?!
 „Jak on w pierze wzrasta?!
 „Przemysł panie... i basta!
 „Wszak to— spytaj mydlarzy,
 „Mydło z mięsa się warzy,
 „Dodaj wonnej zaprawy,
 „Ot i sekret ciekawy!
 „Zysk na mydle nie lada!
 „Funt... talara wypada —
 „Bez żadnego mozołu;
 „Toż on z jednego wołu
 „Wziąwszy pod kredkę szczerze
 „Sto talarów wybierze.
 „U nas wołów dostatek,
 „Toć sprzedajem do jatek,
 „Głupia szlachta i kwita!
 „Żaden ani zapyta,
 „Że niemiecką iść drogą
 „Większe zyski być mogą.

„Nie święci lepią garki;
 „Zła korzyść z gospodarki;
 „Ot ja zadziwię tłuszcze
 „W nowe się zyski puszcze,
 „I jak pan Bóg da zdrowie
 „Kupię woły w Turowie
 „I mydełko uwarzę —
 „Zazdrościcie gospodarze!
 „Bo to pod dobrą porę
 „Ze sto tysięcy zbiorę
 „Tych talarów... co wiecie,
 „Co w brzęczącej monecie
 „Bite jednym kalibrem
 „Po dziewięć złotych srebrem.”
 W takich myślach jak w niebie
 Wszedł Zabłocki do siebie,
 Piękne zyski gotówką
 Licząc kredką i główką;
 A na takiej rachubie
 Zasnął panie Jakubie!

VII.

Już wpadł w niemieckie sidła,
 Marzy o bańkach z mydła
 I wybiera z nich plony
 Sta, tysiące, milijony;

Które tak go zdurzyły,
 Że już i dom niemily,
 I małżeństwo nie w głowie.
 Kupił woły w Turowie,
 Roił jakieś zakłady,
 Przybrał Niemca do rady
 Pan Bóg wie skąd? i po co?
 A z niemiecką pomocą
 Zrobił kuchnię z stodoly,
 Rznie barany i woły,
 I nie bacząc co ziści
 Na mydlane korzyści
 Stracił cały kapitał,
 Jeszcze długu nachwytał.
 Warzy, mięsza i cedzi,
 Choć się śmieją sąsiedzi
 On nikogo nie słucha,
 A myśli w głębi ducha:
 „Otóż będą pieniądze!
 „Jak się całkiem urządzę!
 „Jak mydelko uwarzę
 „Przedam funt po talarze,
 „Tożto ludziska prości
 „Będą pękać ze złości!”
 Aż tu... słyszą ludziska,
 Że z pod kotła z ogniska

Wicher iskrę wyniesie,
 Buchnął ogień na strzesie,
 I spłonęła stodoła
 Zginął krwawy pot z czoła!
 Zabłocki zły do licha...
 Niemca z domu wypycha,
 I oblicza swe straty...
 Gdzie zarobek bogaty?
 Gdzie stodoła? gdzie zboże?
 Gdzie bydelko w oborze?
 Ot porznięte mospanie,
 Krówki tłuste jak łanie,
 Woły jak się należy,
 Jak żubry z Białowieży,
 Wszystko siwe wspaniale
 Ukraińskie rogale.

Coś tam jeszcze z pożaru
 Ocalało towaru,
 Ale towar ladaco.
 „Cóż mi ludzie zapłacą?
 „Talarków sto, czy dwieście,
 „Niech i trzysta nareszcie,
 „Zawsze mało, ej mało,
 „Gdy się tyle wydało!
 „Dwa tysiączki niestety
 „Dobrej, czystej monety,

„Bitój jednym kalibrem
 „Po dziewięć złotych srebrem.
 „Ej biadaż mi, ej biada!
 „Marnie zginąć wypada,
 „Wstyd, ubóstwo i zakał!”
 I Zabłocki zapłakał,
 Bo już strata to strata,
 Lecz boleśniej do kata
 Przyjść samo chcąc ku zgnie,
 Prawdaż panie Jakubie?

VIII.

„Panie ojczel! — rzekł w biedzie —
 „Miłościwy sąsiedzie,
 „Choć już liczę dopiero
 „Lat pięćdziesiąt i z górą,
 „Lecz duch jeszcze młodzieńczy,
 „Miłość serce aż dręczy,
 „Chciejże spełnić me szczęście
 „Daj mi córkę w zaręczenie.”
 Tak Zabłocki powiada
 Kłęcząc u nóg sąsiada.
 Ale sąsiad ciemięga
 Skrytych myśli dosięga,
 A więc śmiało odpowie:
 „Ej nie żona ci w głowie,

„Jeno myślisz junacze,
 „Że ci posag przeznaczę,
 „Że ci grosza dostanę
 „Na twe bańki mydlane;
 „A gdzie byłeś w tym czasie?
 „Gdyś miał grosze w zapasie?
 „Póki chata bogata,
 „Dobre imię u świata??
 „Dziś straciwszy kapitał
 „W dziewosłęby zawitał,
 „I uroił dziad stary,
 „Że mi weźmie talary,
 „Że mi córkę wyludzi!
 „Chyba na śmiech u ludzi??
 „Idź do licha Wasindziej,
 „Szukaj sobie gdzie indziej
 „I małzonki i grosza!?”
 Tak dostawszy odkosza,
 Rzekł Zabłocki sam w sobie:
 „Jeszcze jakoś to zrobię,
 „Jeszcze bieda nie bieda
 „Gdy mydelko się przeda,
 „I po ciężkiej nauce
 „Grosz inaczej obrócę...”
 O! na wszystko jest rada.
 Więc swój towar układa

Do podróźnej kolasy,
 I przez góry, przez lasy,
 Przez jeziora i rzeki
 Rusza na świat daleki;
 I kieruje rumaki
 Kędy widzi dwór jaki,
 Lub zaścianek, lub wioskę,
 Kędy słyzy pogłoskę
 W jakiej wiosce czy mieście
 O jarmarku lub feście. —
 Tam na őrodku kiermasza
 Ludzi k'sobie zaprasza,
 I wmówić się im stara,
 Źe funt mydła talara
 To jest wcale nie drogo;
 Lecz nie złudził nikogo,
 Bo był towar ladaco.
 Ludzie nic mu nie płacą,
 Jeszcze wstydzic się musi,
 Bo na Litwie, na Rusi,
 W całej Polsce, na Źmudzi
 Juź był pośmiech u ludzi,
 Aź mu słuhać obrzydło
 O Zabłockim i mydle.
 „Daj tu radę z prostotą!
 „A mydelko jak złoto!

„A wonniejsze od róży!
 „Choćby zginąć w podróży,
 „Przedam towar w Kijowie,
 „Aż mi będzie na zdrowie!
 „To nie naszym odpustem,
 „Tam słyszę ludzie z gustem
 „I nie z taką kieszenią,
 „Tam nasz przemysł ocenią.”
 O! na wszystko jest rada
 Więc swój towar układa
 Do podróżnej kolasy,
 I przez góry, przez lasy,
 Przez jeziora przez rzeki
 Rusza na świat daleki.
 Tak wesoło, wygodnie
 Jechał cztery tygodnie,
 Stracił złotych ze dwieście
 I dojechał nareszcie.
 Wesół z bicia wypali,
 Kiedy spojrział z oddali
 Na Kijewskie wieżycy —
 To aż skoczył na bryce,
 Aż mu serce podraستا —
 Rusza tedy do miasta,
 A to była już zima,
 Lud na rzece się trzyma,

Droga po nim ubita,
 Więc się o nic nie pyta,
 Lecz w boki się podeprze,
 Rusza lodem po Dnieprze.
 Już się pod brzeg pomyka,
 Wtém lud pęka — i bryka
 I mydełko i konie
 I Zablocki już tonie.
 „Gwałt! ratujcie z otchłani
 „Święci Pańscy wybrani!”
 Krzyknął biedny w rozpaczy—
 Wtém się o lód zahaczy,
 I gdy zguba już bliska
 Wyskoczył z topieliska,
 Wybrnął drżący jak listek:
 A koniki, wóz wszystek,
 I mydełko ciekawe —
 Poszło rybom na strawę.
 Klasnął w ręce rozpacznie
 I rozmyślać tak zaczął:
 Wołać ludzi z pomocą?
 Ale nie ma już po co,
 Dnieprowemi odmetry
 Wóz się strzaskał na szczyty;
 A choć szczyty dostanę,
 Mydło poszło na pianę. —

W domu czeka... cóż? nędza,
 Dziedziec z gruntu wypędza:
 Bo już mija dwa lata
 Jak o czynsze kołata.
 A co doma... to marnie...
 Bo wierzyciel zagarnie.
 Czy na Litwie człek zginie,
 Czy to w cudzej krainie,
 Wszystko jedno; — gdzie ruszy
 Gdy bez grosza przy duszy,
 Kiedy starość przygniata,
 Pośmiewisko u świata,
 W jednej przemokłej szubie,
 Żebrak... panie Jakubie!

IX.

Zachorował od żalu,
 Wzięto go do szpitalu;
 A gdy niemoc omija
 Kupił torbę i kija,
 Gdy nie można inaczej,
 Począł żywot żebraczy.
 Ale mało co zyska,
 Bo już z jego nazwiska
 Nawet w samym Kijowie
 Było znane przysłowie:

Każdy w śmiechy i kwita
 O mydełko się pyta ,
 Wybadywa go ściśle
 O Niemieckim przemyśle ,
 Naszydzi , naurąga ,
 Lecz nie rzuci szeląga.

 Otóż i zysk i sława
 Kto się z Niemcy zadawa ,
 Kto na Litwie lub Rusi
 Ich się zyskiem spokusi.
 Lecz cóż ? i gadać szkoda !
 Obcy zwyczaj i moda
 W większym u nas honorze
 Niż przykazanie Boże.
 Doma chwast i pokrzywa ,
 Choć grunt niezgorszy bywa ,
 A my ze swym lemieszem
 Na cudzą niwę śpiczym ;
 Tylko zmęczym się pracą ,
 A zarobek ladaco ;
 Giną młodzi i starzy —
 Dmucha kto się oparzy —
 Mądry Polak po zgubie...
 Prawda panie Jakubie ?

W domu umob
 Każdę w amocny i wyładow
 O mydoko się
 Wybadawa
 O Niemickim
 Naszbył
 Bo wiecie
 Lecz nie
 Czy i
 Kto się z
 Kto na
 Ich się
 Lecz cót
 Opc
 W
 W
 Nis

Doma chwast i pokrzywa
 Obo
 A
 Na
 Tylko
 A
 Gm
 Dmuch
 Młody
 Lawda

LAIK KLASZTORNY
LAIK KLASZTORNY

(МЦЫРИ).

z LERMONTOWA.

Kępa Anioła i Kura — dwie rzeki,
Jakby dwie siostry na Gruzjańskiej ulicy,
Lecz się z sobą i płyną i żyją —
Był stary klasztor niedawno w wieku,
I dońd jeszcze wędrówką podróżnie
Jakby — jakaka czerwiecące zdala,
Ciepło — nie ścisły i wysokie wieże
I szła bramy to w grusze szła

LAIK KLASZTORNY

(MIRNY).

W LERMONTOWE

LAIK KLASZTORNY.

„Kosztując skosztowałem trochę miodu,
„a oto ja umieram.” —

Księgi król. pier. r. XIV, w. 43.

I.

KĘDY Aragwa i Kura — dwie rzeki,
Jakby dwie siostry na Gruzińskiej niwie
Łączą się z sobą i płyną burzliwie, —
Był stary klasztor niedawnemi wieki.
I dotąd jeszcze wędrownik postrzeże
Jakieś zwaliska czerniejące zdala,
Cerkiewne ściany i wysokie wieże,
I szkielet bramy co w gruz się obala.

Lecz pod sklepieniem cerkiewnej zaciszy
 Pieśni na jutrznią już nikt nie posłyszysz,
 Już dym kadzidła wśród Pańskiej ofiary
 Nie bucha wonnym kłębem z trybularzy,
 Jeno pustelnik dziad siwy i stary
 W pustym zwalisku pozostał na straży.
 Starzec już dawno zapomnian od świata,
 Śmierć zapomniała wziąć go do mogiły;
 A ów z nagrobków staroświeckie pyły
 I mech odwieczny otrząsa i zmiata;
 A na grobowcach przedstawia się oku
 Pamięć i napis chwały ominionej,
 Że jakiś mocarz któregoś tam roku
 Znużon ciężarem swęj pańskiej korony,
 Oddał ją Rusi...

A Bóg od téj chwili

Błogosławieństwo na Gruzińców spuszcza;
 W cieniu rozkosznych ogrodów odżyli,
 Nie straszna dla nich nieprzyjaciół tłuszcza,
 Bo żyją pewni, że ich zabezpieczy
 Niezlomna ściana przyjacielskich wieczy.

II.

Tędy do Tyflis jednego coś razu
 Jechał wódz Ruski od gór Kaukazu,
 Z nim było dziecię zabrane w niewolę;
 W długiej podróży zasłało pacholę.

Chłopczyzna mały i wątłej natury
 Liczył sześć latek — gdy zapadł w niezdrowie,
 A był lękliwy jako sarna z góry,
 Cieńki i giętki jak wodne sitowie.
 Lecz w piersiach dziecka w bolesnej chorobie
 Duch jego ojców rozwinął się pięknie,
 Nie budził skargą litości ku sobie,
 Ani się skrzywi, nie płacze, nie jęknie;
 Przeczącym znakiem pokarmy odpycha,
 I kona hardo, dogorywa zcicha.
 Przez litość jeden z monasterynych braci
 Przyjął chorego do zakonnej celi,
 Leczył, doglądał — dni i noce traci;
 Powstało dziecko z śmiertelnej pościeli. —
 Lecz w niém do zabaw chętko się nie budzi:
 Z początku stroni, ucieka od ludzi,
 Błąka się jeden, słowa nie przemówi,
 I na wysokie pagórki się wspina,
 A gorzko wzdycha, patrzy ku wschodowi,
 Tęskni za krajem gdzie jego rodzina.
 Potém do swojej niewoli przywyka,
 Uczy się dźwięków cudzego języka,
 Chrzei się powolny zakonnicyzmem radom,
 I tak się wgłębia w klasztorne zacisze,
 Że w kwiecie wieku burz ziemskich nie świadom
 Chciał już wykonać poświęcenie mnisze;

Gdy jednej nocy w jesiennym tumanie
 Z murów klasztornych zniknął niespodzianie.
 W okolo były pagórki i skały,
 Na górach puszcza ciągnęła się ciemna,
 Trzy dni, trzy nocy mnichy go szukały,
 Ale ślad zginął i praca daremna.
 Nareszcie w stepie, na bezludnej głuszy
 Znaleźli zbiega prawie już bez duszy.
 Znów pod sklepienie ciemnych krytarzy
 Wnieśli młodzieńca miłosierni ludzie;
 Trupią miał błądź na znędzniałej twarzy,
 A tak był słabym jak po ciężkim trudzie —
 Jakby po głodzie lub długiej chorobie,
 Codzień pierś słabsza i twarz bardziej blada,
 Na zapytania nie nie odpowiada,
 Snadż mu już rychło zasklepić się w grobie.
 Wtedy mnich przyszedł nad boleści łożo
 Spełnić nad chorym tajemnice Boże:
 Chory wysłuchał modły i namowę,
 A choć bezsilny zaledwie oddycha,
 Podniósł z posłania swoje hardą głowę,
 I słabym głosem tak mówił do mnicha:
 III.
 — „Mojój spowiedzi posłanniku Boży,
 Przyszedłeś słuchać — dobra twoja rada

Jakoś złej sercu kiedy się otworzy,
 Gdy przed kimkolwiek swą boleść wygada.
 Dziękuję... słuchaj... lecz żyjąc na świecie
 Chodziłem z ludźmi drogą nieobludną,
 Z życia nie wiele czego się dowiecie,
 A całej duszy wygadać zatrudno.
 Ja krótko żyłem, w niewoli, w klasztorze,
 A takie życie to pożał się Boże!
 Dwa takie życia spokojne, za kratą,
 Dałbym za jedno życie pełne wrażeń;
 Nie miałem uczuć — oprócz samych marzeń —
 Jedną namiętność — lecz ognistą za to;
 Zawładła sercem — jój zabójcza siła,
 Wgryzła się w piersi — i duszę spaliła.
 Ona gdzie w celi modłę się do Boga,
 W oczach i myślach stawi i promieni
 Zamglone góry, kędy rzeź i trwoga,
 Gdzie ludzie wolni jak orły w przestrzeni.
 Jam tę namiętność, co dziś w sercu noszę
 Karmił tęsknotą i łzami gorzkiemi;
 Mówię to w obec niebios i ziemi,
 I przebaczenia za mój grzech nie proszę.

IV.

„Starcel! słyszałem, żeś mi zbawił życie,
 Pocoś to czynił?? — by trzymać w uwięzi!

Liść z macierzystej oderwan gałęzi
 Dla czego jeszcze do ziemi szczepicie ?
 Co miało uschnąć niech marnie usycha ,
 Raczej niż z wolna ma zawiędnąć w głuszy !
 Ocalić dziecię i skazać na mnicha ,
 Czyż to nie znaczy zabić je na duszy ?
 Nikogo tutaj nie mogłem , nikogo
 Nazywać ojcem albo matką drogą .
 Sądziłeś starcze , że wśród obcej strony
 I niedostępnej celi pustelnika ,
 Człowiek od świętych wyrazów odwyka ,
 Zapomni uczuć , z którymi zrodzony...
 Próżno !! bom widział jako drudzy mieli
 Krewnych , ojczyznę , domowy zakątek ;
 Jam nie miał nawet — grobowych pamiątek ,
 Z którymi serce bliżej się podzieli !
 Więc zaniechawszy płakać bezkorzystnie
 Przysiągłem sobie w głębi mego łona ,
 Że pierś samotna , tęskna , rozogniona ,
 Do bratniej piersi kiedyś się przyciśnie...
 Choćby do piersi nieznanego człeka ,
 Byleby rodem z daleka... z daleka ,
 Gdzie moja ziemia , rodzice i bliźnie —
 Biada mi !.. biada ! — urojenie znika ,
 Umrę jak żyłem na cudzej ojczyźnie ,
 Jako sierota — w pętach niewolnika .

V.

„Myślisz, że może przez bojaźń niegodną
 Lękam się trumny — ej baśnie to baśnie!
 Tam uroczyście, spokojnie i chłodno,
 Tam — ludzie mówią, że cierpienie zaśnie.
 Lecz moje serce... lecz krew moja młoda —
 Nie chcę umierać — bo mi życia szkoda!
 Wir młodych marzeń szalony, skrzydlaty,
 Ktoremi dusza tak żywo przejęta...
 Możesz ich nie znał? lub zapomniał z laty
 Co jest nienawiść? co jest miłość święta?
 Możesz z wysokiej monasterskiej wieży
 Zadrzał patrząc na słońca oblicze,
 Na widok pola, kędy wietrzyk świeży
 Orzeźwił twoje piersi zakonnicze.
 Widziałeś może w potrzaskanym murze
 Jak młody gołąb' cudzy i nieznany,
 Z dalekiej strony zapędzon przez burze
 Trzepiąc w skrzydełka tuli się do ściany.
 To cóż, że świata rozkoszne powaby
 Dziś twego serca skrzepłego nie wzruszą?
 Ty dzisiaj siwy, zgrzybiały i słaby
 Odwykłeś pragnąć i pożądać duszą.
 To cóż żeś martwy? — lecz żyłeś na świecie,
 Masz coś pamiętać, coś zapomnieć przecie,
 I ja żyć mogłem — ja umieram w kwiecie.

VI.

„Ty chciałbyś wiedzieć me wrażenia młode,
 Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
 Widziałem niwę szeroką, wesołą,
 Widziałem góry, a na górach drzewa,
 Co się zebrawszy w przyjacielskie koło
 Szumią pieśń bratnią kiedy wiatr powiewa;
 Widziałem czarną chrapowatą skałę,
 Co wrzący potok rozerwał na dwoje —
 Czy wierzysz starcze, że marzenia moje
 Odgadły smutki i myśli jej całe;
 Bóg mi objawił ich tajemię z wysoka,
 Całą ich żądzę i modlitwę biedną:
 Oto, rozdarta na dwoje opoka
 Złączy się chciała i zespolić w jedno.
 Tęskne kamienie na każdym urwirsku
 Podają sobie ręce do uścisku —
 Płyną dni, lata, — lecz dwojga wybrzeży
 Skała ze skałą nigdy się nie zbieży —
 Widziałem głazy i pieczary górne
 Dymiące nakształt ofiarnych ołtarzy,
 A pogarbione w kształty tak potworne
 Jak myśl człowieka kiedy się rozmarzy.
 A nad ich głową w rozigranym biegu
 Białe obłoki ciągną się uroczo,
 Ja się nie mogę — ja umieram w kwiecie

Z tajemniczego powstawszy noclegu
 W długich się kłębach ku wschodowi toczą,
 Na siném niebie jakby biała ściana,
 Jakby wędrownych ptasząt karawana.
 Dalej widziałem przez zasłony mgliste
 Gór Kaukazkich osiwiiałe czoło,
 Tam wpajam oczy... i czuję zaiste!...
 Że sercu jakoś lekko i wesoło,
 Głos tajemniczy wciąż mi przypomina,
 Że to znajoma... znajoma kraina,
 Że ja tam żyłem w ominionój dobie —
 Jak senne widmo, jak mglista bańnia,
 Przeszłość się żywić a żywić wyjaśnia;
 I tak poczęłem przypominać sobie:

VII.

„I przypomniałem mego ojca chatę,
 Rodzinny aul rozrzucony w jarze,
 Zdaje się słyszę wawoży garbate
 Zawrzały życiem w wieczornym rozgwarze,
 W wiosce gromada psów znajomych szczeka,
 Tabun powraca i tętni z daleka,
 A pasterz stado do pośpiechu nagli.
 Zdaje się widzę naszej chaty wnijście
 Kędy na dworze staruszkowie smagli
 W noc księżycową gwarzą uroczyście, —

Czytać odwagę na zgrzybiałym licu,
 Pochwy kindżałów błyszczą przy księżycu.
 Wszystko to wszystko jakby sennie dziwy
 Snuje się w mojej wyobraźni świeżej,
 I widzę ojca — bohater jak żywy
 Zbliża się do mnie w bojowej odzieży;
 Błyszczą wspaniale jego strzelba długa,
 Brzęczy na piersiach druciana kolczuga,
 A harde oko iskrami się żarzy.
 Widzę drużynę memu sercu bliską:
 Siostry ze słodkim uśmiechem na twarzy
 Śpiewają pieśni nad moją kołyską;
 A tam się kręcił i spadał z opoki
 Strumień gwałtowny, ale nie głęboki.
 Tam z piaskiem żółtym i czystym jak złoto
 Chodzę bywało bawić się w południe,
 Śledzę jak czarne jaskółki przed słońcą
 Ponad strumykiem przelatują cudnie;
 Jak się ptaszyna nad wodą kołysa
 Szybkuje lotem — że aż piersi zmoczy —
 I znowu widzę, nasza chatka cicha,
 A w chacie ogień pali się uroczoko.
 A przy ognisku o wieczorniej chwili
 Słyszę rozhovor i piosenki wieszczę
 Co to bywało? jak to ludzie żyli?
 Kiedy świat stary dzielniejszy był jeszcze.

VIII.

„Ty chciałbyś wiedzieć jako czas mój wiode,
 Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę
 — Ja trzy dni... żyłem... i trzech dni to dzieło,
 Żem poznał świata pięknego powaby,
 Bez nichby życie smutniej upłynęło,
 Niż twoja starość samotniku słaby!
 Dawno już dawno mój zamiar się tworzy
 Wybiedz, obaczyć, czy piękny świat Boży?
 W czas grzmiącej burzy zręczność się nadarza:
 Kiedy noc czarna zdawała się piekłem,
 Gdyście leżeli w cerkwi u ołtarza
 Modląc się trwożnie — ja wtedy uciekłem.
 Czułem że żyję — na braterskie łono
 Chciałbym przytulić chmurę rozognioną;
 Śledziłem drogi tajemniczój chmury,
 By złowić piorun wyciągałem pięście;
 Powiedz mi starcze — wasz klasztor ponury
 Czemby mi takie wynagrodził szczęście,
 Gdy się zespoli przyjaznym łańcuchem
 Szalona burza z niespokojnym duchem.

IX.

„I biegłem... biegłem... lecz dokąd, sam nie wiem,
 Ani mi gwiazdka życzliwém żarzewiem

Dróg nie oświeca, nieba nie ozłoci —
 Byłem czémś lekkim, wesolém, skrzydlatém,
 Gdy pierś schorzała w klasztornej wilgoci,
 Mogła napoić leśnym aromatem,
 Biegłem... czy długo? i dokąd? nie zgadnę —
 Ustałem — bieg mój obezsilniał rychły,
 Słucham, i — w trawę wysoką się kładnę,
 Nikt mnie nie goni — grzmoty już ucichły;
 Tylko jutrzienka szeroko i długo
 Bładą na wschodzie rozciąga się smugą.
 Tylko przy brzasku świeżego poranka,
 Z pomiędzy ziemi i nieba sklepiska,
 Jak czarne zęby, jak wzorzysta tkanka,
 Widnieją góry z daleka i z bliska.
 Ja w trawie leżę — a roskosz jedyna
 Słyszać jak szakał odzywa się dziki,
 Patrzeć jak z zielska błyszcząca gadzina
 Sycząc przepelza pomiędzy kamyki.
 Patrzę i słucham — lecz strach mnie nie bierze,
 Bo wiedę z niemi wspólne obyczaje,
 Sam jak gadzina — sam jak dzikie zwierzę,
 Obcy dla świata — czołgam się i czaję.

X.

„Podemną potok wezbrany w ulewie,
 Szumiał, warkotał i bił się o skały,

Jakby sto głosów w nieprzyjaznym gniewie
 Słowa złorzeczeń i groźby miotały.
 Ja zrozumiałem te potoku świsty,
 I jego walkę ze stosem kamieni, —
 Bój niedoleżny, a jednak wieczysty
 To srogo ryknie, to się w jęk zamieni;
 Choć się rozpryska i ginie w swój pianie
 Tłuc i podmywać skały nie przestanie.
 A już we mglistej nad mą głową chmurze
 Chór rannych ptasząt szczebioce i śpiewa,
 Błysnęła jutrznia w złocie i purpurze,
 I wiatr w przemokłe zaszcześcił drzewa;
 I kwiaty ze snu podnosiły czoła.
 Jam witał dzionek wśród wysokiej trawy,
 Podniosłem głowę, spojrzałem do koła,
 I, po co taić? — zadrżałem z obawy.
 Jam był nad brzegiem straszliwej czeluści,
 W niej czarne fale szumiały okropnie,
 Po skałach wejście — lecz któż się tam spuści?
 Jeden snadź szatan przechodził te stopnie,
 Gdy walczył z Bogiem — gdy go Boża siła
 Z niebios w podziemne przepaści strąciła.

XI.

„W koło zapuszczam wzrok cichy, młodzieńczy,
 Kwitnie las piękny jakby ogród Boży

Liście migocą kolorami tęczy,
 Którą na rosie blask słoneczny tworzy.
 Owdzie latorośl kędzierzawa wina
 Po bliskich drzewach wije się i wspina.
 Gałąź w zielone ustrojona liście
 I winogronem soczystym bogata,
 Ku saméj ziemi zwisa uroczyście,
 I nęci ptastwo, co na żér przyłata.
 Czułem, że w raju, że w niebiosach jestem,
 Padłem na ziemię — słuch natężam cały
 Ku drzewom, krzakom — co z cichym szelestem
 Coś tajemniczo szeptać się zdawały,
 Jak gdyby gwarząc wyrazy dziwnemi
 O tajemnicach niebiosów i ziemi.
 Wszystko się PANU na modlitwę sili,
 Gdzie jeno oko, gdzie ucho otworzę,
 Tylko niestety — w uroczystéj chwili
 Głosu człowieka nie stawało w chórze.
 Com jeno marzył, co czułem w téj dobie
 Zbiegło z pamięci, jak woda ze strugi;
 A chciałbym wszystko wypowiedzieć tobie,
 Aby choć myślą odżyć po raz drugi.
 Niebiosa były tak czyste do koła,
 Że mógłbyś na nich śledzić lot anioła —
 Któż tę pogodę lazuru okryśli?
 Ten blask po ziemi roztoczony cudnie?

Pasłem urokiem i oczy i myśli ,
 Aż nim nadeszło gorące południe ;
 Wtedy strącony z mych dumań obłoku ,
 Czując pragnienie biegłem do potoku.

XII.

„Ze stromiej góry jako dziecię małe
 Czepiąc się krzaków , choć praca mozolna,
 Albo stąpając ze skały na skałę ,
 Począłem w przepaść zapuszczać się z wolna ;
 I czułem więcej roskoszy niż trwogi ,
 Kiedy mi kamień wymknie się z pod nogi ,
 I ryje ziemię i kurzawę nieci ,
 I warczy, skacze nim się na dół spuści ;
 Patrzę ciekawie kiedy już doleci ,
 Buchnie z łoskotem do wodnej czeluści.
 I ja swawolnie wisiałem nad wodą ,
 Gdy giętkich krzewów czepiała się ręka ,
 Lecz męztwo grzało moją duszę młodą ,
 A młoda dusza śmierci się nie lęka.
 Ledwie się spuścił po urwistej ścianie ,
 Świeżość wód górnych orzeźwia mię żywo ,
 Wiatr chłodny wionął na moje spotkanie ,
 I piłem wodę piersią pożądliwą.
 Wtém głos... i szelest — w pustej rozpadlinie...
 Ja w mgnieniu oka skryłem się w gęstwinie ;

Dreszcz mię przebiegnał od stóp aż do głowy,
 Podniosłem w górę bojaźliwe oczy,
 I słucham pilno — to głos ludzkiej mowy
 Zbliża się... zbliża... dźwięczny i uroczy,
 To głos Gruzinki, żywy, nieuczony,
 Co jeno w słodkie rozlewa się tony,
 Co jakby insze nieznane mu dźwięki,
 Oprócz wyrazów miłości, przyjaźni,
 Był to głos prostej Gruzińskiej piosenki;
 Lecz tak się wpoił do mój wyobraźni,
 Że go aż dotąd, gdy szara godzina
 Duch niewidomy wciąż mi przypomina.

XIII.

„Z konwią na głowie, po wązkiej dróżynie,
 Gruzinka z góry szła nad brzeg potoku
 Zbiegając na dół gdy się krok powinie
 Pustą wesołość czytałem w jój oku.
 Sute wyloty swój biednej czamary
 W tył odrzuciwszy szła lekko i śmiało,
 Jój twarz, jój piersi barwą ogorzałą
 Powlokły słońca upalnego skwary,
 A ogień życia promieni się w twarzy,
 Z jój ust oddycha, na oczach się żarzy, —
 A w czarnych oczach taka głąb' i siła
 Tak wznieca miłość gorącą, tajemną,

Że moje dumki dziecinne spłoszyła,
 Jam zadrżał, zdretniał — i co było ze mną
 Nie wiem... nie pomnę... tylko słuch pamięta
 Jak brzękła woda konwią zaczerpnięta,
 I szelest kroków — gdym ochłonął z szału,
 Gdy krew ostygła, co mi serce pali
 Już jój nie było... widziałem z oddali
 Jak wraca w góry lekko choć pomału,
 I choć pod konwią schylona jój głowa
 Wzniosła jak topol tych lasów królowa.
 Widzę za mgłami dwie chatnie mieściny,
 Jakby przyrosłe do skalistej bryły,
 Jednym się dachem bratersko pokryły;
 Z pod płaskiej strzechy dym sący się siny;
 I w jednej chacie po nad skałą krętą
 Drzwi się otwarły... znowu je zamknięto...
 Lecz czego tęsknię i o czém ja roję,
 Przed tobą stareze i mówić daremno,
 Ty nie-zrozumiesz — o wspomnienia moje!
 Niech one raczej umierają ze mną!

XIV.

„Po nocnych trudach sen zamknął mi oczy,
 I Bóg mi cudne marzenia przysyła,
 Widziałem obraz Gruzinki uroczy;
 Znowu pierś moja słodko zatęskniła.

Chciałem westchnieniem zwalić kamień z siebie,
 Ale się ocknął wytężając płuca,
 Noc była jasna — a gwiazdy na niebie,
 Księżyc jużienne łożysko porzuca,
 Za nim widziałem chmurkę tajemniczą
 Pędzi się, skrada... jakby za zdobyczą.
 Ciemność i cisza władały na ziemi,
 Tylko śnieg błyszczał co na górach leży,
 I tylko potok takty mierzonymi
 Uderzał silnie o skałę wybrzeży;
 Tylko w znajomej chacie ogień pała
 Iskrzy się... bucha... gaśnie przytajony;
 Chciałbym wejść do niej — lecz dusza nieśmiała,
 Mój cel — uciekać na rodzinne strony.
 Cierpienia głodu przemagam jak mogę,
 I biegnę prosto gdzie noga poniesie,
 Ale po górach miarkując mą drogę —
 Gdym stracił góry, zabłądziłem w lesie.

XV.

Napróżno moja ręka rozpaczliwa
 Rwie krzaki cierniów i splątanych bluszczy —
 Nie się nie przedrze, nie się nie odkrywa,
 Oprócz głębokiej wiekuistej puszczy.
 Za każdym krokiem ścieżka mi się wężą,
 Ze strachu nogi chwieją się podemną.

Miljonem oczu z za każdej gałęzi
 Pogląda na mnie nieprzedarte ciemno.
 Chcę zbadać drogę, czepiam się na drzewa,
 Patrzę daleko... aż do krańców świata:
 Za mną, przedemną, na prawo, na lewo,
 Leśnych wierzchołków powierzchnia zębata.
 Więc krzyżąc wściekle — rozpaczoném czołem
 Padłem na ziemię i gryźć ją począłem.
 Lecz z moich oczu — nawet lzy się leją
 Spadają bujną i gorącą rosą,
 Możem się krzepił tajemną nadzieją,
 Że ludzie przyjdą, pomoc mi przyniosą??
 O! nie... nie, starcze... ja nie chciałem ludzi,
 Ja, obcy dla nich jak stepowe zwierzę...
 A gdybym wiedział, że to litość wzbudzi
 Anibym jęknął przysięgam ci szczerze;
 A gdybym jęknął, to w téj samój dobie
 Pieszczony język wyrwałbym sam sobie.

XVI.

„Kiedym był dzieckiem — to mnie nic nie wzruszy,
 Wszak nie pamiętasz mych łez ni rozpaczy;
 A teraz mogłem pofolgować duszy,
 Płakałem rzewnie — bo któż mię obaczy?
 Las ciemny — świadkiem moim był jedynie
 I jasny księżyc co po niebie płynie.

Przedemną była polanka wśród dziczy
 Drzew niebotycznych ogrodzona ścianą,
 Nicco oświecił księżyc tajemniczy
 Jój ziemię piaskiem i mchem zasypaną. —
 Cień po niej mignął... z daleka coś błyska
 Jakby dwie iskry, jakby dwa ogniska
 Straszny rosomok wyskoczył z gęstwini,
 Tarza się w piasku.. nie głodzien już pono,
 Bo wesół mruczy i zabawkę czyni,
 Trzymając w paszczy kość niedogryzioną;
 To włos najeży, to znowu podskoczy,
 To wlepią w księżyc swoje krwawe oczy.
 Ja kij sękaty ujawszy jak włócznię
 Czekam by mężném postawić się czołem,
 Krew moich przodków zadrgała widocznie...
 Gorącej bitwy i krwi zapragnąłem.
 Choć życie moje niedołącznie płynie...
 Lecz się passując ze zwierzęciem dzikiem,
 Poczulem starcze, żem w ojców krainie
 Mógł nie ostatnim zostać bojownikiem.

XVII.

„Czekam... rosomok zawietrzył po niwie,
 I odkrył wroga i zawył płaczkliwie,
 I ryje piasek gniewnemi pazury,
 I krwawém okiem iskry nieprzytomnie,

Przyległ do ziemi, podniósł się do góry,
 I znowu przyległ i poskoczył do mnie.
 I jużbym zginął — lecz przytomność skora...
 Uprzedza wroga, żwawe ręce moje,
 Mój kij sękaty jak ostrze topora
 Łeb napastniczy roztrzaskał na dwoje...
 Jęknął jak człowiek... i padł — lecz za chwilę
 Choć zakrwawiony i z rozbitą głową
 Zwierz powstał, skoczył i wzmógł się na sile —
 I bój śmiertelny zakopiał na nowo.

XVIII.

„Padł mi na piersi — ale mu do pyska
 Wpycham mój oszczep i przebijam gardło,
 Rzucił się, zawył... i nigdy w uścisku
 Dwóch się przyjaciół tak szczerze nie zwarło,
 Jakaśmy z wrogiem obadwaj zajadli
 Walcząc w ciemności na ziemię upadli.
 Ja straszny byłem w morderczym zapasie
 Jakby rosomok dziki i zawzięty,
 Gryzłem, wiszczałem jakby wilczę zda się
 Wyhodowane z wilczemi szczenięty.
 I głos zwierzęcy na puszczy jałowój
 Wstąpił w me piersi — tak straszliwie wrzeszczę,
 Zda się że ludzkiej nie umiałem mowy
 Żem jój nie słyszał od kolebki jeszcze.

Lecz wróg mój słabnie choć rzuca się do mnie...
 Oddycha wolniej... walczy nieprzytomnie...
 Zdławił mię jeszcze... przytłoczył ogromem
 I raz się zachwiał — i na nowo ożył...
 Groźnie zabłysnął okiem nieruchomém...
 Potém je zamknął i już nie otworzył...
 Lecz chobrze walczył i mężnie umiera
 Jako przystało na zgon bohatera.

XIX.

„Czy widzisz ślady? patrz na piersi mojej!
 Ta rana świadczy o zwierzęcej sile,
 Szarpnięcie krwawe — ale to w mogile
 W surowej ziemi łącno się zagoi.
 Śmierć ranę sklepi jak lekarz, jak matka, —
 O niej pamiętać nie było mi czasu,
 Ja wątłej siły dobywszy ostatka
 Wlokłem się w gęstwie niedostępne lasu.
 Daremnie z dolą walczyłem daremnie,
 Zła moja dola urąga się ze mnie.

XX.

„Wyszedłem z lasu — już dzionek zabłyska,
 Gwiazdy pogasły, wiatr jęknął po ziemi,
 Góralskie chaty i noclegowiska
 Już wybuchnęły dymy porannemi;

Puszcza szumiała swój rozhovor stary,
 Usiadłem słuchać — i ścichły jój gwary,
 Ciekawém okiem spojrziałem do koła...
 Strona znajoma, czy mi się wydaje?
 Tutaj monaster — nie pojmuję z goła,
 Jakim sposobem wróciłem w te kraje,
 Jakbym chciał uledez przed méj doli władzą,
 Wrócić gdzie znowu w ciemnicy osadzą.
 Tylem dni styrał w pustyni i borze,
 Tylem przecierpiał, przemarzył radośnie,
 Po co to wszystko? aby w życia wiośnie
 Wrócić w niewolę, gdzie głowę położę.
 Pierś rozognioną złożyć w grób ponury,
 Kiedy ku światu ledwie oczy wznoszę,
 Kiedy na łonie swobodnej natury
 Zdołałem poznać swobody rozkosze.
 Czyż to na zawsze nadzieja mi zginie?
 I moja tęskna dumka po rodzinie?
 Jeszczem nie wierzył, roiłem z pociechą,
 Że to nie prawda, że to sen mnie straszy,
 Że się obudzę, — gdy spiżowe echo
 Jak grom z dzwonnicy ozwało się waszój.
 Obrazy śmierci już mi w oczach stoją,
 Ten dzwon już nie raz był torturą moją,
 Ten dźwięk bywało moje szczęście płoszy,
 Oczy dziecinne gdy do snu zasklepię,

Marzę o braciach i w błogięj rozkoszy
 Hasam w swobodnym macierzystym stepie,
 Lub widzę piękne wśród skał bojowiska
 Gdziem ja zwyciężcą, gdzie mój miecz połyska
 Nad wszystkie miecze... do innego świata
 Ten dzwon mnie strącał i teraz w pomroce
 Zda się z méj piersi to echo wylata,
 Zda się żelazem ktoś mi w piersi grzmoce,
 I jasno prawda stanęła złowroga,
 Że do rodziny — zamknięta już droga.

XXI.

„Tak! jam zasłużył na cios co mię boli,
 Bo weź rumaka — ze stepu, zdaleka, —
 Zdaj go na ręce cudzego człowieka —
 A zwierz potarga trędzlę swéj niewoli;
 I rzuci jeźdźca, otrząśnie się z siodła,
 Puści się czwałem przez błonia, zagony,
 I nie pytając gdzie droga powiodła,
 Trafi do swoich — na swój step rodzony.
 Ja!! niedołężny, cóż ja przed nim znaczę?
 W mém sercu żądze i tęskne rozpacze,
 Ogień bezsilny, zapuł chorowity,
 Igraszka marzeń i upadek duszy,
 Stępel niewoli na czole wybity,
 Co myśli chobrze smutnemi zagłuszy.

Jak kwiat co w murach od światła zdaleka
 — Między kamieńmi i cegły wyrosnie,
 Nie puszcza liści, poblednie żałośnie,
 I ciągle słońca jak zbawienia czeka.
 Tymczasem długie, długie dni ubiegły,
 A kwiatek wędnął od ciemna i chłodu
 Nim ktoś go wyjął z rumowiska cegły
 I między róże zaniósł do ogrodu;
 Zewsząd go życie owionęło nowe,
 Ale na słońca południowym skwarze,
 Wkrótce opuścił i liście i głowę,
 Spalił się kwiatek schowany w pieczarze.

XXII.

„I ja... gdym wybiegł za klasztorne wrota
 I mnie spaliła słoneczna spiekota.
 Napróżno czoło tuliłem do trawy
 By mnie przytulić chciała miłosiernie
 Bo trawa zwiędła — liść szorstki chropawy
 Wpijał mi w głowę swe kolce i ciernie.
 Nawet od ziemi — gdy do niej przypadnę
 Czuję gorąco i płomienie zdradne.
 Skąła wyziwy zabójczemi bucha,
 Świat snem rozpaczy zasnął nieudolny;
 Choćby dla ulgi, dla pociechy ducha
 Ozwał się chruściel albo konik polny,

Choć g.łyby rybka plusnęła w zatoce,
 O gdzie tam!? straszno wpośród skał urwiska —
 Po suchym łomie żmija się szamoce,
 Żółtemi pręgi zdradziecko połyska ; —
 Jak gdyby na nich był napis złowrogi —
 Pełźnie ukradkiem i straszy sykaniem
 I żółty piasek rozsypując z drogi,
 Wije się w skrety, przewala się na nim,
 Pieści się, igra... ale jednym razem
 Gdym ją chciał witać mową przyjacielską,
 Jakby dotknięta gorącym żelazem
 Rzuca się ukryć w niedostępne zielsko.

XXIII.

„Jasny i cichy był widokrąg cały
 Z za mgły... daleko... dwie góry czerniały ;
 Jedna z nich dobrze znajoma mi góra ,
 Na niej nasz klasztor z basztami i wieże,
 U dołu rzeki Aragwa i Kura
 Srebrzystém pasmem obwiwszy wybrzeże
 I na swych wyspach podmywając krzaki ,
 Biegły wesoło ku mecie jednakiój.
 Daleko od nich! — powstać — nie masz mocy!
 Wszystko się kręci przed memi oczyma —
 Chciałem zakrzyczyć, zawołać pomocy,
 Lecz w piersiach zaschło, i głosu już nie ma,

Język oniemiał, głowa mi opadła,
 Czułem przedśmiertnej gorączki widziadła.

Zdaje się leżę próżen opieki
 Na dnie wilgotném głębokiej rzeki,
 A mgła tajemna krąży w oddali,
 Me piersi wieczne pragnieniem pali,
 A jak lód zimna i czysta woda
 Leje się z piersi, szeleści, syczy;
 Nie chciałem zasnąć — bo było szkoda
 Takięj roskoszy, takięj słodyczy.
 A nad mém czołem wśród błogięj ciszy
 Fala po fali wciąż się kołyszy;
 Przez kryształ wody, przez fali drganie
 Widziałem słońca lubę świtanie:
 Z jego promieńmi rybkom zabawa,
 W świetle igraszkę mają przyjemną.
 A jedna rybka nad inne żwawa
 Jakże uprzejmie pieści się ze mną!
 Na nięj się błyszczy złocista łuska,
 Ona me czoło z pieszczotą muska,
 W zielonych oczkach widziałem pewno
 Głęboki smutek i czułość rzewną,
 A miała głosęk słodki, człowieczy:
 Dźwięcznięj od srebra, dźwięcznięj od złota

Szeptala dziwne, dziwne mi rzeczy;
To się uciszy, to znów szczebiota:



» Tu dziecińco zostań młoda,
» A zamieszkać głębią wodną,
» Tutaj szczęście, tu swoboda,
» Tak spokojnie, tak tu chłodno!



» Zbioreę rybek wiele, wiele,
» Będziem płaszać na przemiany,
» Ja twe oczy rozweseleę,
» Uspokoję duch zgnępany.



» Zaśnij! — miękkie twoje łożo,
» Przewroczone twe przykrycie,
» Wpółśród marzeń śpij nieboże
» Lata, wieki, całe życie.



» Ty mój luby nie wiesz wcale,
» Że o tobie tylko roję,
» Kocham jak swobodną falę,
» Jako własne życie moje.

Ja słucham, słucham, wciąż mi się marzy,
 Że do mnie mówi przyroda cała,
 Że dźwięczna fala to samo gwarzy
 Co mi złocista rybka szeptała.
 Aleś odrętwiał — jak pustka głucha
 Świat Boży ściemniał — urwał rozmowę,
 I już w bezsilnym znużeniu ducha
 Zamarły moje sny gorączkowe.

XXIV.

»Jakoście zbiega z klasztoru szukali?
 Jak mię znaleźli? i co było dalej?
 Ty sam wiesz starcze, skończyłem me dzieje,
 Wierz mi, lub powiedz że zmyślam widocznie, —
 Mało się troszczyć — nad jednym boleję
 Że trup mój w ziemi i rodzinnej nie spocznie;
 Że smutna powieść męczarni mej duszy
 Tu od kamiennej odbija się ściany,
 Żadnego serca współczuciem nie wzruszy,
 Zginie nieznana — jak i ja nieznany.

XXV.

»A teraz żegnaj — daj mi rękę stary!
 Czujesz jak ogniem moja ręka pała—
 Wiédz, że ten ogień, te straszne pożary
 Ja w mojej piersi tailem od mała;

Teraz gdy iskrze żywiołu nie dano
 Przepala swoją ciemnicę kościaną, —
 A wybuchnąwszy w ostatnim pożarze,
 Kiedy śmiertelna pokrzepia go siła
 Wraca do Boga, co w słusznym wymiarze
 Ludziom cierpienia i spokój przysyła.

XXVI.

• Kiedy ja będę umierać zbolały
 (Nie długo starcze doczekasz téj chwili)
 Niechby mię wtedy w ogrodzie złożyli,
 Kędy dwa krzewy akacyi białej.
 Jeszcze na gęstą popatrzyłbym trawę
 Gdzie świeży wietrzyk, gdzie liście zlotawe
 Igra ze słońcem — raz ostatni jeszcze
 Niech mię tam niosą z twojego rozkazu,
 Niechaj się dzionkiem słonecznym popieszczę
 A stamtąd widzę góry Kaukazu!
 A może kraj mój z gór swoich wyżyni,
 Znak pożegnalny sierocie uczyni,
 I ze swym wiatrem w tutejsze zaciszę
 Przyszle ostatnie pożegnalne słowo,
 Rodzinne słowo przed śmiercią usłyszę
 I pełném życiem odetchnę na nowo;
 Pomyślę sobie, że to ludzie moi,
 Że tu przyjaciel, że tu brat mój stoi,

Liczy ostatnie mego serca bicie,
 Ściera pot zimny, co mi z czoła płynie,
 I głosem cichym, że nie posłyszycie...
 Śpiewa piosenkę o mojej rodzinie —
 Wtedy ja umrę... ja usnę tak błogo,
 Nie przeklinając nikogo... nikogo!"...

Przel. w październiku 1852.

STARY WŁOCCZA

(PRAKONIKI)

P

STARY WŁÓCZĘGA

(z FRANCUZKIEGO).

PORA umierać — ot tutaj w rowie
Złożę schorzałe kości.
Ktoś mię z przechodniów pjanym nazowie,
Tém lepiej dla mnie — nie chcę litości !
Jeden odwraca i chmurzy czoło,
Drugi po szeląg jałmużny sięga,
Och, idźcie sobie gdzie wam wesoło,
Umrze i bez was stary włóczęga.

Umrę bom stary — to się rozumie,
Bo umrzeć z głodu świat nie pozwala ;

Miałem nadzieję w żebraków tłumie,
 Że się dostanę gdzie do szpitala.
 Lecz nieszczęśliwych mnogość tak wielka,
 W szpitalach z niemi taka mitrega —
 Ulica dla mnie — to karmicielka!
 Umrę gdzie żyłem — stary włóczęga!

W młodości mojej chciałem w rzemiosło,
 Lecz zewsząd majstry mnie przepędzały:
 •Już wyrobników i tak urosło,
 •Nie ma roboty! idź zebrzcé mały!
 Bogacze mówią: •pracuj na świecie!
 Gdy pod ich oknem człek się wylęga,
 Och! gryzłem kości po ich bankiecie,
 Więc nie przeklinam — stary włóczęga.

Móglbym kradzieżą utrzymać życie,
 Lecz wolę ginąć lub cierpieć srodze,
 Raz głodny jabłko urwałem skrycie,
 Do licha! jabłoni stała przy drodze.
 Za to w więzieniu ledwo nie ginę,
 Kiedy mię prawny wyrok dosięga,
 Zabrali moje dobro jedyne,
 Bo widok słońca stracił włóczęga.

Miłość ojezyny nie dla nędzarza —
 I cóż mnie, pytam, obchodzi może

Jakiemi plony jesień obdarza
 Wasze winnice i wasze zboże?
 Co waszych mówców gadanie próżne?
 Gdy kraj najedzie obca potęga,
 A obcy żołdak da mi jałmużnę,
 Placzę z radości stary włóczęga.

Za cóż mię ludzie depeccie nogą
 Jako szkodliwy owad na roli?
 Niech mię nauczą, niech mi pomogą
 Pracować dobru wspólnemu gwoli
 Nie dziw, że w nędzy zmiana postaci,
 Z troskliwej mrówki gad się wylęga,
 Ja chciałem ludzi kochać jak braci
 Umieram wrogiem — stary włóczęga.

1852.

Wszakże nie sposób sięgnąć do przeszłości
 Choc w pieśniach tęsknota i łodem krew płynię
 Ja idę posłuszny za waszym wyznaniem
 Na cześć, gdzie królowa królowa bogini;
 I ginę z tęsknotą, umieram za krajem.
 Naprótnom się uczył słów pięknych w tym gronie;
 Na piękno sztuk pięknych wiśniem tak wiele;
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 I nazwa wesoła niechże.

NOSTALGIJA

czyli

TĘSKNOTA ZA KRAJEM.

RZEKLIŚCIE: • Pasterzu! idź z nami ochoczo,
 • W Paryżu nauki i dziwy najrzadsze,
 • Osypie cię złoto, starania otoczą,
 • Zapomnisz twe niwy na świetnym teatrze.
 Poszedłem .. i patrzcie, ów skwar, co tu płonie,
 Jak świeżość wiosenną z méj twarzy wypala;
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 A górom powróćcie górala!

Choć w piersiach tęsknota i lodem krew płynie,
 Ja idę posłuszny za waszym zwyczajem,
 Na uczy, gdzie kraśne królują boginie;
 I ginę z tęsknoty, umieram za krajem.
 Napróżnom się uczył słów pięknych w tym gronie,
 Na próżno sztuk pięknych widziałem tak wiele;
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 I nasze wesołe niedziele.

Wy słusznie gardzicie obyczaj nasz stary,
 Wieczory z powieściami i pieśnią ubogą,
 Na operach waszych złudzenia i czary,
 Że nasi wróżbici zrównać im nie mogą.
 Gdy święci czczą PANA na górnym Syonie,
 Od waszych koncertów pożyczają głos muszą.
 Lecz wróćcie mi, wróćcie rodzinne ustronie,
 Wieczory i piosnkę pastuszą.

Dom u nas, to chatka pozioma i stara,
 Kościółek pobity deskami i z kłody, —
 A tutaj pomników i wież co niemiara,
 Pałace i takie jak w raju ogrody;
 A gmachy jak chmury, gdy w białym ich łonie
 Odbije się płomień zachodu iskrzaty;
 Lecz wróćcie mi, wróćcie wioskowe ustronie,
 Wioskowe dzwonnice i chaty.

Wszak dziki poganin wlecze się zdaleka
 Umierać w świątyni, gdzie jego bożyszcze; —
 Tam po mnie pies skomli: kiedyż się doczeka?
 I kiedyż mnie matka spłakana odzyszcze?
 Widziałem sto razy na naszym zagonie
 Jak wicher szturmuje, wilk idzie po łowy.—
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 Lepiankę i chleb mój razowy.

Co słyseż? spełniona modlitwa méj duszy,
 »Wolno ci odjechać, odjeżdżaj — mówicie —
 »Powietrze rodzinie niech łyzy twe osuszy,
 »A słońce domowe niech wskrzesi twe życie.«
 Żegnam cię Paryżu, twych blasków nie gonię,
 Tu ręce jak skute przybylcom z oddala;
 Obaczę, obaczę wioskowe ustronie,
 I góry — ojczyznę górala.

DRZYMKA I CZYN.

(PIOSNKA).

Bo téż życie próżna mara,
Kto zapomnieć się nie stara,
Kto się dąsa Bóg wie czego,
Kto nie spoczął ani chwili
Wśród szczebiotu dziewiczego,
Wśród dziecięcych krotochwili.
Kto psuł pu^har win^em z wodą,
Kto nie pieścił się przyrodą
Drzymiąc jako Sybaryta
Nad rozkosznej książki kartą —
Sam u siebie człek się pyta:
Czyż doprawdy żyć nie warto?

Bo téż życie próżna mara.
Kto rozbudzić się nie stara,
Kto opuścił gnuśne ręce,
Kto doświadczyć sam się lęka
Co rozkoszy w krwawej męce,
Kiedy z bólu serce pęka;
Kto nie czuje i nie baczy
Jaki olbrzym człek w rozpaczy;
Kiedy radość tak zdobyta
Wionie czasem w pierś rozdartą,
Sam u siebie człek się pyta:
Czyż doprawdy żyć nie warto!

SPOCZYNEK

(MYŚL ZE ŚŚ^{GO} CHRYZOSTOMA).

PATRZ na źródło wody świeżej:
To się w wązki strumień ściska, —
Pnie się w górę, z góry tryska,
I spienione dalej bieży.

Wirem kręci się, to wzdyma —
To się kamień podmyć sili —
Czysty potok nigdy nie ma
Odpoczynku ani chwili.

Patrz w spoczynku woda zgniła ,
 Jak zabójeżą parę zionie —
 Pleśń zielona ją pokryła ,
 A robactwo karmi w łonie.

Myśli ludzka! — twa otucha
 Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!
 Świętém życiem wrzéc koniecznie,
 Bo spoczynek — to śmierć ducha.

Bo gdy praca cię unuży,
 Już zgnilizna brzydka wpadnie,
 Już robactwo cię owładnie,
 Uśniesz — nakształt wód w kałuży.

1846.

Patrz w sporychu woda szynia,
 Jak kądziela parę szynia —
 Płomień zielony ją pokryła,
 A towarzysze karmin w łonie.

Mylł ludzka! — two otacha
 Naprawdę, naprawdę pług wieszanie!
 Świątym trybem wstęć koniecznie,
 Bo spoczynek — to śmiód ducha.

SPOCZYNEK

Bo gdy paca się wstęć,
 Już szynia przynęca wstęć,
 Już towarzysze szynia wstęć,
 Uśmiesz — nakazaj wód w kałużę.

1840

Patrz na próżno wody szynia:
 To się w wąski strumień szynia, —
 Pado się w górę, a góry tryka,
 I spoczynek dają szynia.

Wiem kręci się, to wstęć —
 To się kamień podaje szynia —
 Ogony potok nigdy nie ma
 Odpoczynek szynia dają.

KILKA USTĘPÓW
Z GAWĘDY HISTORYCZNEJ

pod tytułem

KANONIK PRZEMYSLSKI.

IV.

Dawny pomysłowy szofer, jakby wiedząc inny,
Haruje melodyjnie jakiegoś szofera przybrany;
Na jego pianinie gra z porażkami słodkimi
Jak gwizdałoby Weneckie półobrotowe błyskawice;
Z pod swojej widać czołga skatki-ton kwiaty
Szansewskiemu za arki wzmocnione wyszły
Czary gładziny rozkład kłóć się przecieka,
A za dźwięki dźwiękami, co z klamry się kłóć,

KILKA USTRZÓW

Z GAWĘDY HISTORYCZNEJ

pod tytułem

KANONIK PRZEMYSŁA.

z Pieśni I.

IV.

DROGĄ pomiędzy zbożem, jakby wiodąc tany,
Harcuje młody jeździec złoćisto przybrany:
Na jego piersiach igra z promieniami słońca
Jak zwierciadło Weneckie półbroja błyszcząca;
Z pod zbroji widać czarna aksamitna świta,
Szamerunkiem ze srebra wzorzyście wyszyta;
Czarny glancowny rzemień kibić mu przeciska,
A za świetny dyjament, co u klamry błyska,

Kupiłbyś całą wioskę, albo całe miasto,
Jeżeli dodasz rubin, co kitę pierzastą
Do czarnego kołpaka przypina u boku.

Harcuje młody rycerz w cwale, to w podskoku,
I jak gdyby ciekawa patrzyła nań rzesza,
Ku lewemu ramieniu hardą głowę zwiesza.
Pięknie mu odbijają szkarłatem jagody
Od puchu czarnych wąsów i strzępionej brody;
A w oczach jeźdźca zapał, na czole nadzieja,
W ustach — piosnka biesiadna Mikołaja Reja.

Pod nim Arabski rumak pieni się i zżyma,
Jakby wzięty od żłobów ze stajni Selima,
Gdy drobnemi kopyty jeno piasek zwiewa,
Rzekłbyś: sarna swawoli lub tańcuje dziewa,
A na piersiach rumaka, jak na piersiach pana,
Błyszczy stalowa blacha srebrem zwirowana,
A na czole nagłównik, na nim herb się mieści,
U trendzli wiązka wstążek jedwabiem szeleści.

O młodzieńcze! to oko, ten wąs, ta czamara
Niebezpieczne dla dziewcząt, groźne dla Tatara.
Na twym dzielnym rumaku i w stroju od złota
Harcuj wesół po drodze twojego żywota;
Bo jako wróżę patrząc na twę głowę wzniosłą,
Książka, pióro, różaniec — nie twoje rzemiosło.
Tyś zrodzony dla życia wdzięcznych krotochwili,
Żadna myśl, żadna troska twych bark nie uchyli;

Nawet miłość, ów robak co ssie pierś młodzieńczą,
 Nie wpije się w twe serce — bo k' tobie się wdzieczą
 Wszystkie oczy niewieście — ho! ho! i w tym dworze,
 Dokąd śpieszysz tak pilno — czekają cię może.
 Przy krośnie siedzi w oknie jakaś dziewa słodka,
 I pyta się u sroczi, pyta się u kotka
 Czy przyjedzie gość luby. — Jakiś stukot w lesie —
 Uradowanej dziewce śmiać się, płakać chce się,
 Słucha tamując oddech, porzuciwszy pracę,
 Czy to tentni twój rumak — czy serce kołacze?
 Bo u niej serce żwawo i niesforno bucha.

Harcercz pokręcił węża, poprawił łańcucha,
 Spojrzał w dalekie okna znajomego domu,
 Uśmiechnął się junacko, westchnął pokryjoma
 I spiał konia ostrogą.

V.

Każdy przyznać musi,
 Piękne są dworki w Polsce, w Litwie i na Rusi,
 Bo piękne nasze wzgórki, strumienie i łany;
 Jest kamieni i gliny na zamek ceglany,
 Pięknych dębów i sosen obfitość tak mnoga,
 Że z nich nie wstyd wznieść nawet świątynię dla Boga;
 Niech jeno biegle oko i ręka bogata
 Czarodziejską naturę ze sztuką pobrata,

A można w Polsce stworzyć taki cud piękności,
 Że szlacheckiego domku sam król pozazdrości.
 Lecz fraszka wszystkie sztuki i natury dziwa,
 Najpiękniejszy ten dworzec gdzie luba przebywa;
 Tam się wszystko spodoba, wszystko wzrok zachwyci,
 Choćby droga z krzemieni, most z pajęczych nici;
 Jakby w raj Mahometa — piąć się — miała praca!
 Och! tylko powrót ciężki, bo coś wstecz zawraca. —
 Tak marzył młody jeździec.

Wśród zboża i trawy

Skreca się bita droga jakby wąż żółtawy,
 I wije się pod lasek do strzeleckiej chaty,
 I dalej gdzieś się skrywa za wzgórek garbaty.
 Ze wzgóрка widzisz groblę, kędy twoją głowę
 Ocieni młody olsznięk i liście wierzbowe;
 W poprzek grobli pod mostem strumień sączy wodę
 Przezroczystą i wrzącą jako serce młode;
 A po obojęd stronie pokoszona trawa,
 Tchem balsamicznej woni rokosznie napawa,
 Strzekoce polny konik, a w takt strzekotania
 Mżą się cienie olsznięku co groblę osłania.
 Za groblą u krzyżyka rozdziela się droga;
 Lecz niepotrzebny munsztuk ni srebrna ostroga,
 Zmyslny rumak wie czego twemu sercu chce się,
 Rycerzu, on cię skokiem do lubej zanieśie.

Dwory Polskie obroune — jedyna w tém rada,
 Bo Tatar jak szarańcza co rok kraj napada,
 I Kozak każdój wiosny rzuca Zaporozie
 Wioząc Lachom gościniec: płomień i noże.
 Lecz daremnie pan Chełmski od hord najezdника
 Swoj dworzec ostrokołem i rowem zamyka,
 Najezdник, co po serce jego dziewczki kroczy,
 Szańców się nie przeleknie i pale przeskoszy.
 Ale nie trzeba skakać przez szance i rowy,
 Gość przedsię nie Tatarzyn, ni Kozak stepowy.
 Wrotny spojrział przez szparę i poznał sąsiada,
 Brama z dębowych desek na pół się rozpada,
 I stanęła otworem pełna uprzejmości,
 Jako serce szlachcica kiedy wita gości.

VI.

Zbladło oblicze jeźdźca, uczuł bezład w duszy,
 Kiedy ujrzał wśród klonów, jabłoni i gruszy,
 W cieniu brzoź rozczochranych z białemi konary
 Dom Italską strukturą drewniany i stary,
 Otoczony w około róż koleczystym płotem,
 I ganek z ławicami, z herbowym klejnotem.
 Fraszka wszystkie klejnoty, fraszka wszystkie róże,
 Droższy skarb, świeższy kwiatek mieszka w Łścińskim dworze.
 Héj, nie dziw, panie Chełmski, że codzień masz gościę,
 Że na twoim dziedzińcu trawa nie poroście —

O! nie znajdziesz spokoju na twe stare lata,
 Dopóki modrookiej córce twego brata
 Nie wynajdziesz bogdana — w domu pana stryja
 Młodzież kamienne progi czołem porozbija,
 A pijąc zdrowie kraśnej, do dna powytacza
 Twój miodek Jagiełowski i wino z Munkacza.
 Ot i ten co przyjechał, co złotem się żarzy
 Młody Prokop Zaręba ozdoba Hussarzy,
 Muska pieszczoną bródkę i nastroja minę;
 Niby to do starego przybywa w gościnę,
 Niby chce się poradzić na sejmik zawity,
 Czy głosować za Kmitą, czyli przeciw Kmity?
 Niby z Pisma Świętego ciekawość go bierze,
 Czy ma słuszność pan Stankar, czy Rzymscy Papieże?
 I nie zrozumiał tekstu świętego Łukasza. —
 Urodzony Zarębo! mądra Miłość Wasza;
 Ale pan Chełmski mędrszy zgadł po tonie pieśni,
 Że Łukasz, Kmita, Stankar Waszeci się nie śni,
 Że cię tutaj nie sejmik, nie papieżka władza,
 Lecz panny Magdaleny spojrzenie sprowadza.
 Oho! starego wróbla nie złowić na plewie.
 Niby to nie rozumie, niby to nic nie wie,
 Lecz z uśmiechem już poszedł po rozum do głowy;
 Bierze statut Herburta i Kodeks sejmowy,
 I bibliją łacińską i Pawłowe listy,
 I gościa poprowadził pod klon rozłożysty.

Tam na dębowej ławce, przy puharze wina,
 I doczesne i wieczne sprawy rozpoczyna,
 I trunek wyrazi tak powoli sączy,
 Że do skończenia świata gawędy nie skończy. —
 Już i zorze błysnęły — młodzieniec w rozpaczy
 Patrzy na dom czy w oknach lubej nie zobaczy —
 Próżno rwiesz się młodzieńcze, i strzelasz oczyma,
 Zorzy twego żywota jak nie ma, tak nie ma!

VII.

Wyszła nakoniec dziewa i skromnie się kłania,
 Z uśmiechem rycerskiego słucha powitania,
 I zaprasza do izby i gościa i stryja,
 Bo już na półzegarzu dziewiąta wybija
 I wieczerza gotowa — lecz cóż mu wieczerza?
 Młodzieniec się prostuje, czuprynę najeża,
 A świadom jak podbijać młodociane łona,
 Potoczystym a gładkim stylem Cyncerona
Zaleca swoje służby i powolne chęci,
 I kłania się rycersko i wąsik i kręci.
 O! w chorągwi Hetmańskiej, gdzie Zaręba służy,
 Nikt nad niego junaczęj oczu nie przymruży,
 Nikt się wdzięczniej nie skłoni — nie podskoczy śmielęj,
 Nikt sowitszem i słowy do serca nie strzeli;
 A kiedy ku dziewczęciu niby nie umyślnie
 Oko z pod ciemnej rzęsy promieniem wytryśnie,

Na gładkich licach dziewy taki wzrok junaczy
Wywoła pewnie krasę — on wie co to znaczy.

Wedle Polskiej dworności grzecznego nałogu,
Pan Zaręba i Chełmski kłaniają się w progu
I wciąż jeden drugiego k' pierwszeństwu zaprasza:
»Przodkujecie miły gościu!« — »Idźcie Miłość Wasza!
Aż po długich ukłonach, wzajemnej podzięce
Weszli obaj do izby wzięwszy się za ręce.
W izbie nie zbyt ubogo, ni nazbyt bogato:
Na środku stół okryty turecką makatą,
Przy nim dębowe ławy z kraciatą poręczą,
A srebrzyste lichtarze ze świecą jarzącą.
Komin, gdzie gorą z trzaskiem sosnowe polana,
Sieją blask po komnacie aż miga się ściana —
Jest się od czego migać — bo w iskrach się pali
Bohatérski rysz tunek ze srebra i stali.
Nie darmo Chełmski bijał Turki i Wołoszę,
Ma płatnerskiej roboty wszystkiego potrosze:
Owdzie wisł hełm z kratą i ze strusią kitą,
Tu widzisz karacenę od kuli przebitą,
Owdzie krótki proporczyk, owdzie spisa długa,
Pancerz o karpień łusce, dróćiana kolczuga,
Kończan, szeroki topór i szabla wytworna —
Słowem, wszelka zaczepna, wszelka broń odporna.
A wszystko polerowne, zostrzone jak nowe,
Choć dziś, panie Hetmanie, daj hasło bojowe!

Zbroja pana Chełmskiego nie zawiedzie cześci.
 Z jój blaskiem metalicznym gdy słońce się pieści,
 Lub gdy ogniem wieczornym zabłyśnie komnata,
 Rzekłbyś, że sto błyskawic na powietrzu lata.

VIII.

Przy wieczerzy gospodarz wciąż gwarzy i gwarzy:
 Wykłada Pismo Święte, sejmiki kojarzy,
 Rzuca jakieś pytania i sam je tłumaczy.
 Zaręba czy pojmuje? Bóg to wiedzieć raczy,
 Zdaje się, że młodzieniec ku słuchaniu pilny;
 Lecz mu lata po wąsach uśmiech krotochwilny,
 A kradzioném spojrzaniem ustawicznie goni
 Tam, gdzie główka dziewicza oparta na dłoni
 Drzymie albo coś duma — Czy wiesz co, nieboże?
 Gdyby odkraść tę dumkę — ciekawybyś może
 Obaczyć co tam duszę zajmuje kobiecą?
 I poważne dumaunie rozweselić nieco.
 Bo téż biorąc te rzeczy rycersko, młodzieńczo,
 Bóg wie na co te myśli — tylko serce dręczą,
 Tylko od nich bezładno w głowie jakby w lesie —
 Niech zresztą starzy myślą kiedy im tak chce się,
 Lecz młodemu człękowi i młoděj kobiécie
 Śmiać się, płasać, poigrać — to coś warto przecie,
 Umysł się nie utrudzi a orzeźwi łono.
 Tak marzył pan Zaręba i miał słusność pono.

Ależ szukaj nieboże słuszności u ludzi!
 Synowica dumaniem, stryj gawędą nudzi,
 Skończyć poważne nudy już ani nadziei —
 W tém pan Chełmski postrzegłszy, że mu się nie klei,
 Zawołał wielkim głosem: «Cóż to jest, u licha!
 »Waszeci drzymać chce się, mnie w gardle zasycha,
 »Więc pokrżepmy tę sprawę — Wina! moja luba,
 »Nie jest ci to Falernum ni grecka Ekuba,
 »Przedsię wino węgierskie, które Wam zalecim.
 »W tysiącnym czterechsetnym dziewięćdziesiąt trzecim
 »Zlane było do stągwi z dębowego drzewa,
 »Jak to napisał łaćniński na boku opiewa.
 »Czasem się tylko u mnie w uroczystej chwili
 »I to z serdecznym gościem puhanek wychyli,
 »Dziś zajrzyjmy do dzbana by rozjaśnić oczy!»
 A więc dziewa z pośpiechem do piwnicy kroczy,
 I szyderczym uśmieżkiem nastroiwszy lice,
 Wnosi gęsior wytłoczyn z węgierskiej winnice,
 I dwa srebrne puhanry z kłosami ze złota
 (Norymbergskich złotników misterna robota).
 Więć nalano puhanry, więć w srebro brzęknięto,
 I wychylono duszkiem przez powinność świętą
 Zdrowie Rzeczpospolitej i Królewskej Mości.
 Oj, Prokopie Zarębo, szkoda mi Waszmości!
 Po co się tak skwapliwie bierzesz do kielicha?
 Patrz, jako się dziewica posepnie uśmiecha,

Na twarz grzecznie figlarną rzuc jeno oczyma
 A od razu wyczytasz co o tobie trzyma.
 Myśli w duchu nieboga : »Otóż to Ussarze ,
 »Zepsuto wychowani w obozowym gwarze :
 »Nudzi się biedny żołdak, drzymkę ma u powiek , —
 »Nawet przy moim stryju, choć to mądry człowiek —
 »W Bozkich i ludzkich rzeczach — choć z ogniem nie lada
 »Bitwę mu Obertyńską ściśle opowiada ;
 »Pan Prokop niecierpliwy usnąłby na stole ,
 »Nudno mu nawet przy mnie — o biedne pachole !
 »Dajcież mu raczej kielich niżli stare dzieje ,
 »Pustkę głowy i serca niech winem zaleje.
 »A szkoda .. jasne oko... i twarz znakomita ,
 »Niech jeno na oblicze jakaś myśl wyświta ,
 »A byłby rycerz piękny i pełen ponęty...
 »Kochać go... czy nie kochać?... Bóg-że to wie święty...
 I pokiwała główką jakby coś nie rada.
 Czyśmy zgadli jój myśli — i któż to wybada ?
 Ale sądząc z posepnie nadaśanej miny,
 Takie dumki latały po głowie dziewczyny.

IX.

Wilcza natura ciągnie do głębokiej kniei,
 Ussarska do szklanicy — a gdy po kolei
 Dwakroć, trzykroć brzęknęli w srebrzyste puhary,
 Młody się rozpromienił a odmłodził stary.

Chełmski zanucił piosnkę jak bito Wołoszę ;
 Zaręba już weselszy i śmielszy potrosze ,
 Zbliża się do dziewicy , oko na nię pieści
 I potrząsa swój skarbiec śmiesznych przypowieści ,
 Prawi swoje przygody i pocieszne dzieła ;
 Ona — dąsa się — dąsa i śmiać się poczęła :
 Jak w Krakowie Zaręba hulając przy miodzie
 O blasku księżycowym wracał ku gospodzie
 I bił się z własnym cieuiem bohaterką dłonią ;
 Jak drugi raz umykał przed żydów pogonią ,
 I wpadł do wyschlęj studni jakby wilk do dołu ;
 Jak zwaśnił dwie przekupki siedzące pospołu ,
 I insze płocze brednie — lecz bredzi tak mile ,
 Tak do poważnej rzeczy wtrąci krotoczwilę ,
 Że na dziewiczym czole już srogość nie taka ,
 Znaczno że polubiła młodego pustaka :
 Żartami płaci żarty , wesola , szczęśliwa ,
 Już do pustej swawoli sama go wyzywa ,
 I gwarzy i szczebioce — ej! po takim gwarze
 Przyśni się młody harcerz w srebrzystej czamarze !

X.

Bogdajby wiecznie spleśniał matematyk stary ,
 Co wymierzył godziny i stworzył zegary !
 Weźcież pod mądry córkiel , uniżenie proszę ,
 Bolesć serca ludzkiego i jego roskosze ;

Kędy męża z daleka wygląda małżonka,
 Kędy więzień pod ziemią łańcuchami brząka,
 Kędy boleje chory z mizerném obliczem,
 Kędy kochanek z lubą rozmawia o niczem
 Kędy dzieci swawolą — czas jednakóż płynie?
 Falsz, mędrze! ach! godzina nie równa godzinie. —

Oto na półzegarze już północ uderza,
 Dawno rumak pod gankiem czeka na harcerza.
 Prokop przeklął godzinę — przypasał pałasza
 I żegna gospodarzy; — pan Chełmski zaprasza,
 Aby pozostał na noc — daremnie go prosić,
 Lubych marzeń dla serca na dzisiaj już dosyć,
 Bo grzech zbytńie nurtować w upojenia czarze;
 Za przedłużenie szczęścia czasem pan Bóg skarże;
 Nie kosztować za życia wieczystego nieba —
 Przy tém sercu co kocha samotności trzeba!
 Słodkoż uspiwszy rozum — wypuścić bez pana
 Niechaj sobie pohula myśl rozkołysana;
 Niech to będzie na polu albo jadąc lasem,
 By snadź ciekawy człowiek nie podsłuchał czasem,
 I nie wziął za szaleńca gdy przyjdzie do głowy
 Myśleć w niekształtnym śpiewie, lub głośnemi słowy.

Rumak spięty ostrogą, więc posłuszny panu,
 Przeleciał groblę, mostek pędem huraganu,
 Pod górę zwolnił biegu — udała się sztuka,
 Począł iść wolnym krokiem jakby wsparcia szuka,

A Prokop rozmarzony jakąś dumką błogą,
 Ani myśli figlarza ponaglić ostrogą.
 Czémże przedsię ta głowa tak mocno zajęta?
 Och! dzisiaj w jego duszy uroczystość święta,
 Dzisiaj człowiek ciekawy łatwo zeń skorzysta;
 Jego żelazny pancerz i pierś przezroczysta,
 W ustach dziecinna słodycz, głowa mu się pali,
 Samby wszystko wygadał gdybyśmy spytali;
 Lecz wara szperać w sercu co się dziś wynurza
 Bo jutro...

Ot zagrzmiało — będzie deszcz i burza.

XI.

Noc ciemna — na niebiosach od brzegu do brzegu
 Wrząca chmura grobowym całunem zalega,
 Lunęła rzeźkim deszczem, ozwała się grzmotem,
 A w namiętych jęj piersiach zagrał puls z łoskotem, —
 Ciężko westchnęły szturmem nadęte jęj płuca,
 Wicher łamie gałęzie i piasek rozrzuca,
 Leci duch spustoszenia — błysnęło jak wstęga,
 I jak gdyby runęła niebieska potęga,
 Piorun dwakroć i trzykroć zawarczał u głowy,
 Drgnął i palnął ogniście w stary pień dębowy,
 Aż jękla czarna puszcza — a po niej szeroko
 Toczy się echo gromu, — choćby wykół oko

Nastąpiła czarna ciemność, a z nią cisza głucha
 Jeno deszcz drga w powietrzu i po ziemi plucha
 I po liściach łopoce. — Błysnęło w oddali,
 Znowu wzdyma się wichur, znowu piorun pali,
 Posypały się z ogniów lodowate grady,
 I organy niebieskie huczają pieśń zagłady.
 I strasliwego sądu sygnały złowieszcze...
 Héj! rycerzu Prokopie, czy ty żyjesz jeszcze!
 Jeden, w nocy, wśród burzy, deszcz spluchał ci pono
 I twoje pióro strusie, i brodę pieszczoną
 I srebrzystą czamaraę. — Ot widać trzy kryże,
 Rumak wspina się, parska i uszami strzyże,
 Czy droga nieświadoma, czy się czego lęka?
 Patrz... iskra nieruchoma — to światło z okienka.
 Ach! pomnę — jest tu chata strzelecka na lewo,
 Może znajdziem przytułek przed straszną ulewą;
 Strzelec tutaj znajomy — zapukajmy śmiało,
 Pan Boksza Radoszewski, starzec jakich mało,
 Biedny lecz zacny szlachcic — ej będąż nam radzi!
 Kielich pieprznój gorzałki po deszczu nie wadzi,
 A stary ma gorzałkę. — Tak Zaręba marzy
 A deszcz oczy zalewa, grad chłoszcze po twarzy,
 A rumak, choćby żebra przebić mu ostrogą,
 Nie chce kroczyć inaczej jak noga za nogą,
 Snadź trwożny błyskawicy, która wciąż migota.
 Rycerz dobił się wreszcie pod strzeleckie wrota

I silno zakołatał, i słyszy w oddali:

«Kto tam stuka? Wszelki duch Pana Boga chwali!»

— «Podróżny! wpuście na noc!» — «Ot zaraz otworzę» —

«A cóż to za ulewa!» — «Nie dopuszczaj Boże!»

Z Pieśni II.

I.

Kto ciekaw niech w Bartoszu Paprockim przeczyta,

Że Boksze Radoszewsey szlachta znakomita,

Pieczętują się *Okszą* — to świetność nie mała

Na czerwonej pawęży, halabarda biała,

A ostrze halabardy służy na lewicę —

Z Czech, z rodziny Warszowców pochodzą Okszyce,

Lecz dobrze zsarmacieli przez wieków koleje

Wątrobkowie, Boksowie i Nagłowscy Reje,

I mnóstwo innych domów téjże parenteli,

Zacną Okszę krwią swoją rżęsiście obleli

Walcząc za sprawę Polską. —

Taki klejnot drogi

Posiadał Marcin Boksza dziad stary bez nogi,

Wnuk pana z Siemikowie sławnego Stogniewa

Pilnował w lasach Łścińskich zwierzyny i drzewa

Ma kilku współherbownych i stryjecznych braci,
 Co na Węgrzech i Polsce głośni a bogaci;
 On strzelcem — lecz nie splamił herbowną siekierę
 Ubogi, to cóż robić? — *sic fata tulere*.
 Narcin został sierotą, młodziutkie pacholę
 Nie pieszczony od matki, nie smagany w szkole,
 Uciekł od opiekunów wzięwszy szkapę łysą,
 I pojechał na Węgry z toporkiem i spisą,
 Gdzie pan Mikołusz Boksza brat jego stryjeczny
 Miły królowi Węgier, Turkom niebezpieczny,
 Przełamywał rycersko Selimowe szyki —
 Marcin łatwo się wpisał między ochotniki —
 A raz ująwszy w rękę swój topór i kosę
 Ścinał nie gorzej ludzi łby Turków bezwłose.
 Gdy króla Węgierskiego pod Munkną zabito,
 Pan Mikołusz powrócił w stronę rodowitą,
 A pan Marcin gdzieś zginął — ot zwyczajnie młody,
 Pojechał w świat szeroki szukając przygody,
 A same go przygody szukały widocznie;
 Tylko bywało słuchaj, gdy rozprawiać pocznie:
 Jak postrzelon z rusznicy z ran już prawie kona,
 Jak w Niemczech kochał córkę jakiegoś Barona,
 Jako potem wędrował by zwiedzić Rzym święty,
 Jako bywał od Włoskich zbójców napadnięty,
 Jako służył rycersko na Hiszpańskim dworze.
 Kłamie, czy prawdę mówi — któż to zgadnąć może?

Jeno, że człek bywały jak to z miny wnosim,
A nie było go w Polsce lat siedm czy ośm.

II.

Wreszcie się do ojczyzny przywałęsał zdala,
Wrócił pieszo o kiju by dziad do szpitala;
Miasto łuku i miecza miał torbę przez plecy,
Gdzieś mu nogę urwano przy szturmie fortecy,
To chodził o drewnianej — jak żebrak z rzemiosła,
Broda mu kędzierzawa do piersi wyrosła,
Głowa hełmem przytarta świeci się łysiną,
Rany niezagojone we krwi jeszcze płyną,
Był blady, lecz wzdę z miną gęstą a szlachecką,
Miał za cały majątek bibliją niemiecką.
Zmarniała piękna młodość — gdzież wioska ojczysta?
Część spalili Kozacy — część zabrał jurysta,
Boksza nie chcąc się pieniać dał mu pokój święty;
Poszedł k' bogatym krewnym, tam zimno przyjęty,
Gdy mu dawał pieniądze pan Mikołusz stary,
Marcin cisnął na ziemię grosze i talary
I poszedł szukać chleba z bliznami na czole.
Sromota rycerzowi bakałarzyć w szkole,
Łaciny, co mu jeszcze w głowie pozostało,
Na szlacheica aż nadto, na księdza zamało;
Że więc oszczep i topor pokochał jedynie
Został beznogi rycerz leśniczym we Łącinie,

I już od lat dwudziestu zdrowy i wesoły
 Wychowuje ogary, gończe i sokoły.
 To nie, że dziad kaleka — bo, panowie moi!
 Śmiało jeszcze na oszczep z odyńcem dostoi,
 A gdy stawi obławę lub urządza sieci,
 Stary tak się uwija jakby wicher leci;
 Jeno się młodzi strzelcy dziwią nie pomału,
 Skąd ta łowiecka biegłość? skąd tyle zapału?
 A pan Chełmski szanując rycerskiego ducha,
 Pana Marcina Boksze jak wyrocznie słucha;
 Lubią go w okolicy i młodzi i starzy,
 A on im za to swoje wydarzenia gwarzy.

III.

Choć go z progów rodzinnych prawie odepchnięto,
 On kocha herb swój Okszę jak bibliją świętą,
 Jako miłą ojczyznę, jak dobrego pana —
 Nad gankiem jego chaty Oksza wyrzezana,
 Okszę piastował w sercu i powtarzał w mowie,
 „*Jakem Okszyc z Okszyców!*” — takie miał przysłowie.
 Lubił mając słuchaczów przy kominku zimą
 Powtarzać swego herbu kronikę rodzimą:
 Skąd się początek godła i kształt jego bierze,
 O sławnym Ratyborze Czeskim bohaterze,
 Protoplaście ich rodu — potem gwarzył dalej
 O Warszowcu, którego Geszkonem przezwali,

Potém o swoich dziadów rycerskiej ozdobie,
 O swoim ojcu i stryju — nakoniec o sobie;
 Wtedy pięścią po stole bijąc z całą siłą,
 Gromił Turków i końca gawędzie nie było.

W Krakowie jest gospoda — zowie się *pod Chmielem*,
 Tam się zszedłszy pan Boksza z dawnym przyjacielem,
 Dzieje swojego rodu kiedy mu powtarza,
 Siedział z boku Paprocki układacz herbarza,
 Podśluchał i zapisał o jego splendorze,
 O wojennym Gaszkonie, mężnym Ratyborze —
 Lecz ze złości, że stary nie kupił mu wina,
 Pan Bartosz w swym herbarzu opuścił Marcina.

IV.

Kiedy niema z kim gwarzyć — z dawnego nałogu
 Marcin Boksza poświęca czas swój panu Bogu.
 Na półce jego chaty jest biblija dawna,
 W wielkie dębowe deski i w skórę oprawna
 I na klamry mosiężne zapięta zamczysto.
 Dziad wieczorem zasiada z twarzą uroczystą,
 I przy jodłowym karczu, lub smolném łuczywie,
 Słowa pisma Bożego czyta zapalczywie
 I rozbiera je w duszy — już z niemieckiej strony,
 Gdzie bywał na wojaczce. powrócił zlutrzonny;
 Lekce sobie považał Pańskie tajemnice,
 I dzwonki Loretańskie i gromniczne świece,

A przedsię gdy niedawno piorun stuknął w lesie,
 Stary zbladł — na odwagę przeżegnać się chce się,
 Chce się zasłonić tarczą dawniejszych pacierzy,
 I westchnął, że w krzyż święty jak dawniej nie wierzy,
 Bo dzwonek Loretański i święcona woda
 Pomoże, niepomocze, a otuchy doda.
 Tchórzysz, stary rycerzu! Boksza kiwnął głową,
 Łyknął pieprznój gorzałki, i śmiały na nowo!

z Pieśni III.

XII.

- Gdzie? nie powiem — w Krakowskiém, to dosyć —
 • Przybiegłem o opiekę nad Krowickim prosić.
 • Gospodarz postać zacna i w kraju znajoma;
 • Ale kiedym przyjechał nie było go doma,
 • Bo posłował od szlachty na krakowskim sejmie, —
 • Więc młoda synowica wdzięcznie a uprzejmie
 • Zabawiała przybylca — co aż do téj chwili
 • Pamięta każde słowo, cośmy tam gwarzyli,
 • I każdą grę rumieńca, co kraśnieje falą,
 • I każde mgnienie oczu, co jak słońce palą. —
 • Czy ona była piękną?... któż to wiedzieć może?
 • Insze jest piękno ludzkie, insze piękno Boże:

- »Ludzie mają prawidła dla kształtów, dla twarzy,
 »I opisali piękność jak szperacze starzy,
 »Co opisują w księgach dokładnie a wiernie
 »Garnek wynaleziony gdzieś w Rzymskiej cysternie —
 »Lecz piękność, tchnienie Boga, odcisk jego myśli,
 »Grzech temu kto określa — i nikt nie określi.
 »Ona nie była piękną wedle piękna ziemian —
 »Oczy modre jak niebo i zmienne naprzemian
 »Jako niebo Sarmackie: to pogoda błysnie,
 »To się chmurką zasepi niby nie umyślnie,
 »To poważnym obłokiem cała się ogarnie,
 »To promykiem słonecznym wystrzeli figlarnie;
 »Niechże mi to określi twoja myśl bogata,
 »Określ mi tę purpurę co po licach lata,
 »I tę postać Dyanny, co skromna jak dziecko,
 »Co nie wie, że bogini, a króluje przecię,
 »Co dziwi się, gdy przed nią zdumieni ukłęką —
 »Nie nam... nie nam, Prokopie, określić to piękno!
 »To nie rzeźba z marmuru, tu snadź bije łono,
 »A znurtować myśl Bożą nie ludziom sądzono,
 »Jeno czołem uderzyć...
 » W rozmowie nam płynie
 »Godzina w jednej chwili, cały dzień w godzinie;
 »Mówiłem ję o Włoszech, o mojej podróży,
 »Pytała mnie o Rzymie: czy tam kościół duży?

- » Czy Papież siwobrody ? czy po polsku mówi ?
- » Czy nie byłem na Etnie idąc ku Rzymowi ?
- » Czy straszno, kiedy ognie wulkaniczne gorą ?
- » Czy pięknie, gdy się Włoszki w niedzielę ubiorą ?
- » Jak tłumaczyć na polskie chrzestne ich imiona ?
- » Czy wszystkie takie chytre jak królowa Bona ?
- » I dalszych pustych pytań rzuciła mi krocie —
- » Że poważny teolog był przedsię w kłopotcie.
- » Ach! Polska choć mię swoim Cyceronem zowie,
- » Dałbym pokój méj chwale i mojej wymowie,
- » A jeszczebym się Bogu pomodlił sownie,
- » Gdyby w tak słodkiej bredni spędzić całe życie.

z Pieśni IV.

I.

..Król w mieście — więc Krakowskie otworzyste wrota
 Pilnuje z halabardy węgierska piechota,
 A nudząc się na warcie o porannej dobie
 Piosnki Naddunajskie wyśpiewywa sobie.
 W miarę dnia coraz gwarniej i ludność urasta,
 Piesi, konni, wozowi, do miasta i z miasta,
 A każdy śpieszno dąży, a cała gromada
 Po łacinie, po polsku, po niemiecku gada,

Jak niegdys robotniki przy wieży Babelu.
 A strojów ani zliczyć w przemianach tak wielu:
 Hatłas, szkarłat, żelazo, migają co chwila,
 Jak ubarwione pręgi na skrzydłach motyla;
 Złoto iskrzy jak słońce na szlachcie i panach,
 Żydowie w żółtych czapkach i czarnych żupanach,
 Rycerstwo po hiszpańsku, lub tatarską modą,
 Tamten z sowitym wąsem, ten z trefioną brodą;
 Owo pałasze brzęczą po bruku kamiennym,
 Grzmią wozy — miasto kipi swoim ruchem dziennym.
 Patrzaj jeno po murach — oto wzrok uderza
 Łazarzowa drukarnia, dalej kram płatnerza,
 Dalej w pielgrzymim płaszczu sprzedaje dziad stary
 Częstochowskie obrazki — tam włoskie towary,
 Owdzie żaki uliczne i szkolne studenty
 Klecą szopkę tarciczną na dyalog święty.

II.

A owo ponad wroty na bielowej ścianie
 W allegorycznej myśli jakieś malowanie:
 Sowita gałąź chmielu wyrasta od ziemi,
 Z pokręconemi wąsy, z liśćmi olbrzymiemi,
 A na szerokich liściach jak to bywa w sadzie,
 Przyczepił się rój pszczelny w niemaliej gromadzie.
 Pięknież to mieć naukę! — ot naród prostaczy
 Patrzy, a nie rozumie co ten obraz znaczy?

Ale szlachta uczona toć łącno zgadywa,
 Że tutaj można dostać i miodu i piwa.
 Tu piwo nie poślednio lechce zmysł człowieczy,
 Warzy je sam gospodarz i zna się na rzeczy;
 Prawda, że i Pułtuskie hańbie się nie poda,
 A Rzezińskie klarowne i gęby nie szkoda,
 I sądeckie poszóstne wyśmienite bywa —
 Ale u Piotra Czopka to piwo nad piwa.
 Cóż za dziw że *pod Chmielem* pełno na gawędzie?
 Muzyka w dzień i w nocy na piszczałkach gędzie,
 Dodawa dobrej myśli, rozwesela gości,
 A świat ten — prawdę mówiąc, to próżność próżności.
 W dzień jeszcze mało szlachty, lecz gdy noc się zezerni,
 Tam panowie uszarze i młodzi pancerni;
 Uwijają się gwarno brząkając pałaszem;
 Nawet Jan Czarnolaski z Górnickim Łukaszem
 Niekiedy tu zachodzą osłodzić swe losy —
 A wesół starzec Gąska, Ślaska wielkonosy
 I wąsaty Mateusz i Jost ryźobrody
 Na dzień dwakroć i trzykroć zajrzą do gospody.

z tejże pieśni.

IV.

W długiej wazko a ciemno sklepionej komorze
 Żyje biskup Dziaduski — tylko twarde łoże,
 Tylko półka z księgami u wilgotnej ściany,
 Tylko w ciemnej framudze krucyfiks drewniany
 I obraz Częstochowski ze srebrnemi szaty:
 Oto cała ozdoba pasterskiej komnaty.

A pasterz pokutniczo klęczący na ziemi
 Modli się z wielkiej księgi z klamry spiżowemi,
 I woła drżącym głosem: «o Sancta Maria!»
 I uderza się w piersi aż echo odbija.
 Twarz blada, bo ją postem i czuwaniem niszczy,
 A rosa łez pokutnych w źrenicach mu błyszczy;
 Lecz na pochmurném czole znać duma nałogiem,
 Jeśli się upokarza, to chyba przed BOGIEM,
 A ludzi.. to jak stado pierzchliwych gołębi,
 Spojrzeniem ich podepce, uśmiechem przygnębi;
 Zna, że władza z ramienia Najwyższego Pana,
 Jeśli chcesz z nim mówić — padaj na kolana.

A o podał pokorny, chudy, ryżogłowy,
 Siedzi ksiądz Jan Czermiński kapelan domowy,
 Złożył ręce na piersiach pod jedwabną togą
 I uśmiecha się jakoś chytrze a złowrogo.

Chwieje się jakby wiatrem jego postać długa,
 I wciąż głową potrząsa i oczami mruga,
 I szepce coś do siebie. — Wtém zadrgała ściana,
 Brzmi po bruku kamiennym kolébka kowana,
 Ucichło — jeno słychać, że ktoś stąpa w sieni,
 Zapukano w podwoje: • *Veni, frater, veni!* •
 Zawołał ksiądz Dziaduski powstając w pokorze,
 (Bo klasztorny obyczaj chował na swym dworze),
 A Czermiński podbieżał snadź k'ważnej osobie
 I otworzył podwojów połowice obie.
 Gość poważnie się wtoczył — wzniosła jego głowa,
 Oblicze pełne, kraśne, a pycha światowa
 Wryła na nim piętno ziemskiego zaszczytu —
 Nosił fioletową togę z aksamitu —
 Na piersiach wielki łańcuch i krzyż szczerozłoty,
 Na krzyżu syn Dawidów męczennik Golgoty
 Wykowany robotą misternego Włocha,
 Zda się przymawiać pysze miękkiego pieszczocha,
 Co go nosił na piersiach — lecz nie w prersiach pono,
 Co mu jasne brylanty na pierścieniach płoną,
 Co Indyjskich balsamów wonnemi przyprawy
 Maścił trefioną brodę i włos kędzierzawy.
 Snadź tylko co uctował przy sowitym stole,
 Snadź nie źle mu się wiedzie — a na jego czole
 Ani pobożnej myśli, ni światówój troski —
 To ksiądz biskup Kujawski Jędrzej Zebrzydowski.

— « *Salvete mi! salvete in nomine Christi!* »
 Zawołał głosem wdzięcznym jak harfa psalmisty,
 Co nim silnie wstrząśniona w takt zakipi rączy
 Najprzód powolne tory ze strun swoich sączy.

• Witam Waszą Dostojność, mój pokłon przynoszę!
 — « *Salvete!* — rzekł Dziaduski — a usiądźcież proszę!

I ścisnęli prawice na znak powitania,
 I każdy dumne czoło do pól piersi skłania,
 I skinęli obadwaj i ręką i głową
 Na obitą kobiercem ławicę dębową.

• Siadajcie! — • Siadźcie pierwsi! — po długim ukłonie
 Zebrzydowski siadł pierwszy i po prawej stronie,
 (Bo czy przy boku pańskim, czy sejmowa rada,
 Starszy biskup Kujawski i wyżej zasiada
 Niżli biskup Przemyński — tak kazano w prawie).

Ksiądz Czerwiński na obu popatrzał ciekawie,
 Pokłonił się i wyszedł. —

« Cóż tam słyhać w mieście? »

— « Złe słyhać, nie nie wiecie, choć tutaj jesteście, »

• Sejm złożon do Piotrkowa — pożar w iskrze tleje!

• Górkowie, Oleśnicy, Zborowscy, Firleje,

• Cała kacerska banda na prawdę coś kroi;

• Szlachta kipi aż słyhać u pańskich podwoi,

• Województwa szemrają, powiaty się burzą,

• Wkrótce biskupów Rzymskich z senatu wykurzą,

» Jako pszczoły robocze, gdy miodu naniosły. —

— » Zwyczajnie — rzekł Dziaduski — że senat i posły

» Nad Piotrową opoką jako muchy brzęczą —

» Stałość, ojcze Jędrzeju!

— A gdy nas umęcą? «

— » Toć pomrzem — wszak w piśmie rzezono nie marnie:

» Pasterz ma oddać życie za swoją owczarnię,

» Wszak nam nie straszno umrzeć choćby tejże chwili,

» *Non tibi moritulus* — powiedział Wirgili. «

— » Święty, ach święty zapał co się u was żarzy! —

Zawołał Zebrzydowski z uśmiechem na twarzy —

» Lecz szkoda, że on zapał ginie bez zapłaty,

» Że nie rodzą owoców retoryczne kwiaty;

» Może i ja za trzodę umarłbym z rozkoszą,

» Lecz gdy pasterz zaginie, owce się rozproszą,

» Muszę żyć — powinienem i przetrwać złe próby;

» Wilki się wałęsają u mojej chudoby

» Więc powinienem czuwać nad owczarnią Bożą.

» A zresztą, księżu Pawle, nam śmiercią nie grożą,

» Chcą uczynić z nas posąg bezwładny a niemy,

» Wydrzec ostatki władzy, którą piastujemy;

» Pozwolą wszystkim wierzyć jak wskazuje serce,

» Podpiszą obelżywą zgodę z różnowierce;

» Niech kto wola buduje kacerskie zborzyska,

» Fałsze piórem ogłasza i w druku wyciska,

- » Wolno mu, kędy zechce potępienie szerzyć,
 » A biskupom nie wolno klątwy nań wymierzyć,
 » Ni uwięzić kacerza apostolską władzą —
 » Choćby ksiądz — twoje prawa na nic się nie zdadzą;
 » Polska, to kraj szlacheiców, więc szlactwa gwoli,
 » Co ci wolno z kanonów, statut nie pozwoli. »
- » Za nic! — krzyknął Dziaduski — za nic takie dzieło!
 (Aż mu ręce zadrżały, aż oko błysnęło,
 Aż się żwawy rumieniec zaiskrzył na twarzy)
- » A i jaż przecie szlachcie i mój głos coś waży!
 » Jaż w mych rękach pasterskich dzierżę moc niebieską,
 » I choćby jedną jotą, choćby jedną kreską
 » Chciano czynić uszczerbek w mém pasterskiem prawie,
 » Na wiarę różnowierców raczój pierś nadstawię...
 » Choćby król... choćby senat... i Rzeczpospolita.. »
- » Szkoda — rzekł Zebrzydowski — że cię nikt nie pyta,
 » Bo nie tylko w magnatach i w szlacheckiej czerni,
 » Nie tylko różnowiercy, lecz i prawowierni
 » Burzą się jednym głosem jak zhukana fala,
 » Że dzisiaj stan duchowny za nadto pozwala,
 » Zapozywa szlacheiców przed swe sądy Boże,
 » I sadzi do więzienia co i król nie może.
 » Ot i dziś zapalczywie gadał mi te słowa
 » Na pokojach monarszych stary Jan z Tarnowa:
 » W pochwy, Mości księża, w pochwy kord Piotrowy,
 » Przestańcie machać mieczem nad wolnemi głowy;

- »Jeśli kacerz w swobodach zbyt się rozhula,
»Są grody, trybunały, jest Majestat króla,
»Pozwij przed sądy świeckie jeśli będzie o co,
»Lecz wara gnębić szlachtę kościelną przemocą!»
»Więc już, rzekłem, przy świeckim Waszmościów urzędzie
»Pasterz owczarni Bożej chyba woźnym będzie?
»Tak!... odpowiedział Tarnowski ze spojrzeniem dzikiem —
»Łacniej tobie być woźnym niż mnie niewolnikiem.«

PARĘ WYJĄTKÓW

Z MUZYKALNEJ KANTATY

pod tytułem

ROK W PIEŚNI.

PARĘ WYJĄTKÓW
Z MUZYKALNÉJ KANTATY

pod tytułem

ROK W PIEŚNI.

Pamiętność o ciętej kwiacie,
Złoty pękatej jej kwiaty,
I ukryta kępa w cierni
Pamiętność o ciętej kwiacie,
I o słodki straszydło
Róża rycy wygadywa,
Wygadywa i pszczoła,
Ej, słodko to pszczoła!

PARA WYDRÓW

Z MUZYKALNEJ KANTATY

pod tytułem

ROK W PIESNI.

»Piejcie żeńcy, żnijcie zboże,
 »Wszak bogaty pan we dworze,
 »Choć pragnienie głos wam trudni
 »Teraz wyschła woda w studni;
 »Ale gdy się wszystko późnie,
 »Pan usaczy was wielmożnie
 »Da wam miodu — da wam wina!
 Ej złośliwa to ptaszyna!

»Pijcie żeńcy, pijcie do dna,
 »Bo daleko wiosna głodna.
 »Gdy wiosenne słonko wstanie,
 »Ciagną zboże na przystanie,
 »Wicinami k'Niemcom gonią,
 »A po wioskach w dzwony dzwonią,
 »Śmierć swe żniwo rozpoczyna.
 Ej złośliwa to ptaszyna!

Przepióreczka kwili w życie,
 Panie Wójcie, czy słyszycie?
 Bieź do dworu pański sługo!
 I przynieście strzelbę długą,
 I zastrzelcie nam na dziwo
 Przepióreczkę szczebiotliwą
 Niech nie jęczy, nie przeklina,
 Ej, złośliwa ta ptaszyna!

K Ł O S E K.

Hanna.

Kłosku żytni, czyż nie szkoda,
 Że cię zeżniem z pola?
 Pókiś jeszcze trawka młoda,
 Póty życie i swoboda
 Póty lepsza dola.

W pośród listków i badyli
 Rośnie kłos zielony,
 To do kwiatka się przymili
 To wesołą głowę schyli
 W rozmaite strony.

C h ó r.

Deszcz dla niego to otucha,
 Wicher to swawola,
 Zda się żyje w pośród pola
 I skowronka słucha.

Hanna.

Przeszła wiosna, przeszła marno
 Nastął miesiąc nowy:
 Kłos obciąża bujne ziarno,
 Jako myśli co się garną
 Do poważnej głowy.

On zesmutniał w suche lata
 Zżółkniał w czas dojrzania,
 Przeszła młodość — cóż mu za to?
 Głowę plonem choć bogatą
 Ku ziemi nakłania.

C h ó r.

Skwar i słońca go przeraża,
 Grad i wicher troska,
 A wesoły śpiew żniwiarza
 Śmierci dlań pogłoska.

Hanna.

Ej lepićj być trawką w wiośnie
 Pieszczotą motyli,
 Niżli kłosem gdy wyrośnie
 Ocięższe i żałośnie
 Ku ziemi się schyli.
 Lepsza młodość i śmiech skory
 Choć nie masz w nim treści,
 Niż późniejszej wieku pory
 Mądre, suche rozhowory
 Z westchnieniem boleści.

Chór.

Puśćmy ducha na swobodę
 Gońmy senne mary;
 Lepiej nosić serce młode
 Niżli rozum stary.

Z TĘJŻE KANTATY.

Po nocnej rosie
 Płyn dźwięczny głosie
 Niech się twe echo rozszerzy,
 Gdzie nasza chatka,
 Gdzie stara matka
 Krząta się koło wieczerzy.

Jutro dzień święta,
 Niwa nie zżęta
 Niechaj przez jutro dojrzewa,
 Niech wiatr swawolny
 I konik polny,
 Niechaj skowronek tu śpiewa:

Blizko już blizko
 Chatnie ognisko
 Znużone serce weseli;
 Tam pracowita
 Matka mnie spyta
 • Wieleście w polu nażeli? •

• Matko, jam młoda,
 Sił moich szkoda
 Słońce mi spiekło oblicze!
 Źle szła robota —
 Przeszkadza słońca
 I moje dumki dziewicze. «

Przedkowi do Nowych Gawęd

Idealki włoskowsy	1
Zyma piosenkiwo polowicko	5
Wamtu polny	12
K O N I E C.	
O Kobiłkciu i wryło	14
Lalki kłopoty	25
Klasy wierszy	32
Nowe i stare	41
Chyba i czy	48
Spisy	58
Kanceli. Przemysłaki (wyjeżdżi)	59
Rak w plóci:	
Pielki i wiersze	117
Kłopot	117
Z ciele kłopoty	120

• Matko, jam młoda,

Sił moich zaboda

Spóść mi spieśko odłżać!

Nie sąś robotą —

Przeszkadza siota

I moje dumki dławisz.

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Niechaj prześ mi dółżać,

Niech wiar swawolny

I kuzak piory,

Niechaj skowitki w spieź:

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

Przeszkadza siota

• Wielkie w pory nastę!

OMYŁKI DRUKU

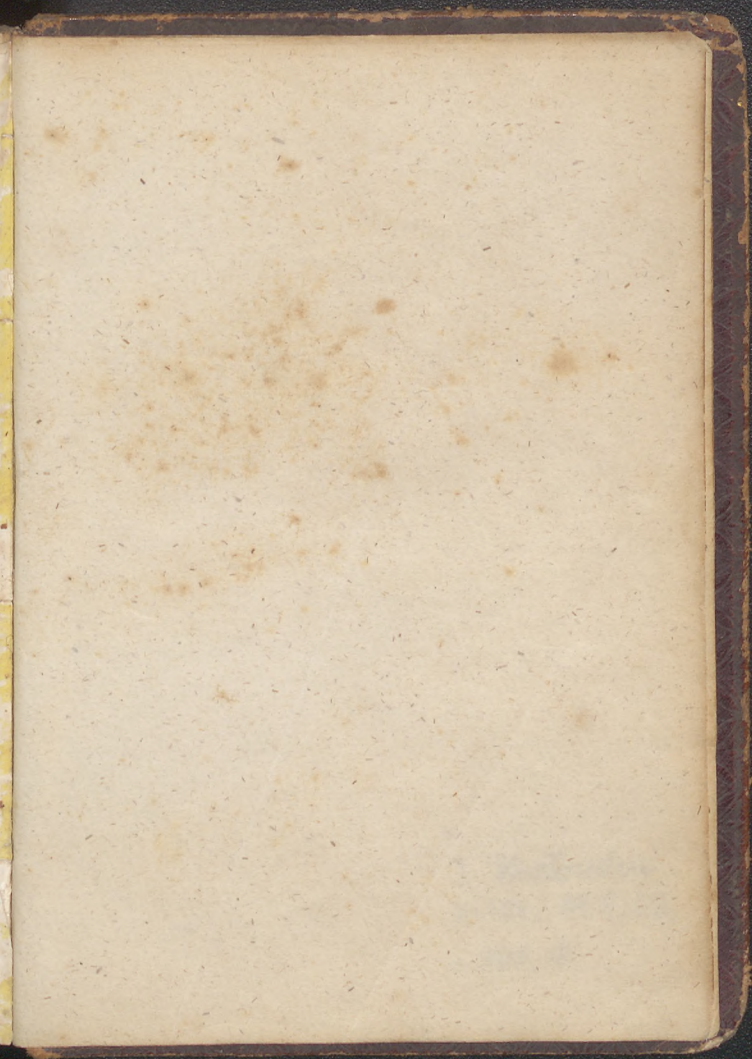
S P I S.

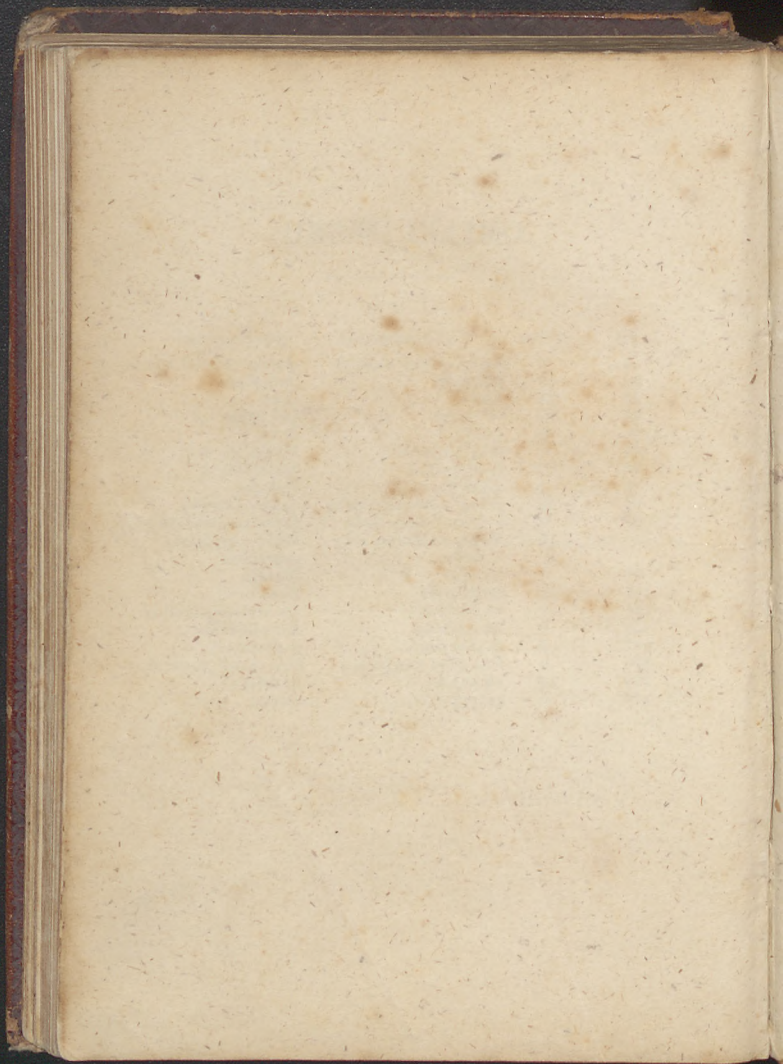
Przedmowa do nowych Gawęd.	
Lirnik wioskowy	1
Żywot poczciwego człowieka	6
Hetman polny	12
O Zablockim i mydle	15
Laik klasztorny	35
Stary włóczęga	68
Nostalgija	71
Drzymka i czyn	74
Spoczynek	76
Kanonik Przemyślski (wyjątki)	79
Rok w pieśni :	
Pieśń żniwiarska	115
Kłosek	117
Z téjże kantaty	120

Przedmowa do nowych Gwiazd.....	1
Liście wstępne.....	2
Żywot początkowy calowiaka.....	12
Hermań polny.....	12
O Zebotkim i mydło.....	12
Liść klasztorny.....	22
Stary wstępny.....	22
Wstępny.....	21
Dziękuję i czyn.....	24
Spocznik.....	26
Kanonik Przemyski (wypis).....	29
Rok w piśmie:	
Pisze Świąteczna.....	112
Klucze.....	117
Z dzieł kanta.....	120

OMYŁKI DRUKU.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>wydrukowano</i>	<i>powinno być</i>
7	4	potém mléko zajałal	potém zajałal mléko
20	14	szlehcę	szlachcic
30	26	Lud	Lód
31	6	lud pęka	lód pęka
38	9	A ów	A on
48	4	Mogła napoić	Mogła się poić
85	20	koleczystym	kolczastych
90	8	Ekuba	Cekuba
93	26	jakby wsparcia szuka	jakby ścieżki
95	7	I strasznego sądu	Jak strasznego sądu
—	16	Może znajdziem przy- tulku	Może znajdziem przytulek
97	5	Narcin	Marcin
100	10	Goszkonie	Geszkonie
104	18	na bielowej	na białoniej ścianie
105	6	Rzezińskie	Brzezińskie
107	2	w pręsiach	w piersiach
109	9	<i>Non tibet moriturus</i>	<i>Non tinet moriturus</i>
110	14	na wiare	na miecze
116	6	usaczy	uraczy





У. Козловска
К-Нв, М. 9, 76,
- 100. ш,



W 16 9

7



BIBLIOTEKA
NARODOWA

895369

POCZET 2

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001014171152